Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V | Niedziela, dnia 26 grudnia 1937 r. | Nr. 52




Gloria in excelsis Deo!...



Jak w lustrze możemy ujrzeć swe własne odbicie, tak w „Moich Powieściach", odnajdziemy razem wspólne życie: „Krainiaków", tudzież wszystkich Czytelników i Sympatyków. „Powieści" szły z nami przez rok okrągły — szły i prowadziły! Stwierdźmy to na dalszych zdjęciach:

ADAM CZEKALSKI

12)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

W krótkim czasie jednak okazało się, że stare ojczysko bardzo boleśnie zawiodło się w swoich rachubach na syna, gdyż ten mimo niewątpliwych zdolności, bynajmniej nie zdradzał najmniejszej chęci do „robienia w trykotach". Nad nudne cyfry i jeszcze nudniejsze kłopotanie się sprawami finansowymi, przekładał wolne życie i sport a działo się to tak długo, dopóki nie odkrył w sobie żyłki wywiadowczej. Stało się to zaś zupełnie przypadkowo Pewnego razu zobaczył na ulicy gościa, który przy całej swej przeciętnej postaci i mniej niż przeciętnym ubraniu, miał na sobie wspaniałe futro. Gość ten wydał mu się podejrzanym. Zwrócił zaraz uwagę na niego spotkanemu przypadkowo starszemu wywiadowcy Urzędu Śledczego Kulce i w konsekwencji okazało się, że ów tak pięknie posiadający futro gość, to zdawna poszukiwany międzynarodowy szczur hotelowy. Innym razem, przechadzając się po Piotrkowskiej — zwrócił uwagę na nowiuteńkie lakierki przechodzącej damy. Po bliższej obserwacji oddał ją w ręce policjanta, który odprowadził ją na komisariat. Elegantka okazała się poszukiwaną złodziejką „szopenfeldziarką". Te i inne wypadki zwróciły uwagę władz na zdolności śledcze wesołego bibosza i próbowano zaangażować go do służby śledczej. Ale Oleś odmówił. Wolał na własną rękę, jako wolontariusz od nikogo niezależny, dalej uprawiać sport wywiadowczy. Jego sukcesy śledcze stawały się z miesiąca na miesiąc coraz głośniejsze, a liczba spraw, w których był angażowany była dość wielka. Później jednak wesoły Oleś, jak go popularnie nazywano, spostrzegł się, że angażowanie się w drobniejszych sprawach zabiera mu tylko wiele czasu, wobec czego zaczął przeprowadzać selekcję w sprawach, do których go zapraszano i pozostawiał sobie tylko takie, które były specjalnie trudne do rozwikłania. W swej pracy uznawał za godnego siebie tylko jednego pomocnika, a to starszego wywiadowcę Kulkę. Z nim też przeprowadzał wiele spraw trudnych, nieraz takich, o których nawet taki stary lis, jak komisarz Krajewski zwątpił.

— Za panem, panie Olesiu, chodzi szczęście, jak cień za człowiekiem w dzień słoneczny — powtarzał mu też nieraz komisarz, gdy Oleś przybywał z nieodstępnym Kulką, aby zdać końcowe sprawozdanie z działalności w tej lub innej sprawie.

— Łut szczęścia więcej jest wart w życiu, niż fortuna — odpowiadał na to Barlamp. — A poza tym, trzeba umieć nawet z najnikczemniejszej rzeczy wyciągać właściwe wnioski.

Harmonijność współpracy między Olesiem a Kulką była prawdziwym biczem bożym na wszelkiego rodzaju przestępców, których wielkie skupiska ludzkie miewają nieraz aż nadmiar.

Ale do sprawy Borowicza Barlamp zaangażowany został ze strony zgoła innej. Pewnego dnia otrzymał telegraficzne wezwanie od swojego przyjaciela z ławy szkolnej, kapitana Olśnickiego, aby przyjechał koniecznie i natychmiast do Warszawy. Nie wiele się namyślając, Oleś kazał oporządzić swój Mercedes-Benz i naładowawszy dostateczną ilość benzyny, dał gazu i pomknął do Warszawy. Tutaj spotkał się z Olśnickim w jego mieszkaniu i wysłuchał cierpliwie bardzo ciekawego opowiadania o wypadku z planami inżyniera Kosibowicza, w kradzież których zaplątany był Stadnicki.

— Właśnie przez wzgląd na Jurka — mówił kapitan — który teraz leży bez duszy w szpitalu w jakiejś tajemniczej chorobie, a nad głową ma zawieszony miecz ciężkiego oskarżenia o zdradę i

Wszystkim Naszym Czytelnikom, „Krainiakom" i Sympatykom życzymy WESOŁYCH I SZCZĘŚLIWYCH ŚWIĄT!

WYDAWNICTWO I REDAKCJA „MOICH POWIEŚCI".



Nowy Rok powitały z nami lampką wina...

szpiegostwo, pragnę cię prosić, mój Olesiu, abyś zajął się tą sprawą. Stadnicki nie mógł dopuścić się przestępstwa, o które jest oskarżony.

— All right — odrzekł na to Barlamp. — Powiedz że mi jednak, mój kapitanie, jakie są twoje wnioski co do tej kradzieży? Boć mnie nie wydaje się wcale nawet prawdopodobnym, aby ktoś obcy mógł zakraść się niewidocznie do szefostwa, tak pilnie strzeżonego, i plany te wykraść.

— Tak, obcy nie mógł tego zrobić.

— Więc swój? Więc ktoś taki, kto musiał mieć dostęp do szafy z aktami z tytułu swej rangi czy swej funkcji?

— Tak, takby należało przypuszczać.

— All right! Skomunikuję się z władzami sądowymi wojskowymi i jeżeli te zechcą ułatwić mi zadanie, spodziewam się, że w niedługim czasie uda mi się może rozwikłać tę tajemnicę.

— Na jedno jeszcze pragnę zwrócić twoją uwagę — odezwał się poważnie kapitan — a mianowicie: ten, kto plany te wykradł, usiłował wplątać w aferę Stadnickiego. Widać bardzo zależało mu na tym. A przecież Jurek prawie nie miał tutaj żadnych wrogów, zresztą znasz go doskonale.

— Tak, znam go, przecież to mój bezpośredni dowódca z czasu odbywania ćwiczeń wojskowych w swoim czasie, a następnie zażyły druh. Parokrotnie popiliśmy zdrowo w Łodzi i zabawiliśmy się setnie.

Po tej rozmowie Barlamp udał się do władz wojskowych, do bezpośrednich przełożonych Stadnickiego, do prokuratora i sędziego śledczego, długo z nimi konferował, naradzał się, badał, węszył, nie ominął nawet ordynansa Żymełki ani dozorcy domu, w którym mieszkał porucznik, poczem znowu napełnił baki swojego wozu benzyną i piorunem pomknął do Łodzi, aby tutaj naradzić się z kolei z Kulką. Po tej naradzie, jak to już widzieliśmy, obaj udali się pod pałacyk Rostafińskich, aby podsłuchać rozmów między sobą przemysłowej delegacji hinduskiej i spłoszeni tam zostali przez Dario, który przypadkowo tylko znalazł się w miejscu ich czatów i spłoszył ich.



Potężny, barczysty Hindus zorientował się w jednej chwili, że ci dwaj uciekający ludzie nie musieli tutaj przyjść z dobrymi zamiarami, więc rozpuściwszy swoje długie nogi, pognał za nimi przez park.

Kulka, tak na oko niepozorny i nikczemnej konstytucji okazał się, przy swoich innych zaletach, również i doskonałym biegaczem. Zerwawszy aparacik podsłuchowy, pomknął przodem jak ścigany jeleń, chwilami tylko oglądając się za siebie, czy przyjaciel goni za nim. Tak dopadli parkanu, wysokiego na blisko dwa metry. Kulka poderwał się w biegu i skoczył na parkan, a w następnej chwili był już po drugiej stronie. Barlampowi szczęście jednak nie dopisało. Wprawdzie i on znalazł się prawie tuż za Kulką na parkanie, ale trzaśnięty jakimś potężnym drągiem przez czerep, spadł na ziemię, jak gruszka z drzewa strząśnięta. Od tej chwili nic nie pamiętał, co działo się z nim. Obudził się dopiero, z przykrym bólem głowy, na kupie jakichś odpadków bawełnianych, w jakiejś ponuro wyglądającej ciupie. Rozejrzał się ciekawie dokoła i gwizdnął przeciągle, ale prawie natychmiast syknął z bólu. Potem zaczął się zastanawiać nad tym, skąd on się tutaj wziął, i co w ogóle działo się z nim.

— Żyję więc — rzekł do siebie w końcu — a to grunt. Póki życia, póty nadziei bo później — szkoda twoich łez dziewczyno — nie warto nawet myśleć o tym.

Spróbował powstać, ale pierwsza próba zawiodła. Podniósł się tylko na łokciu i znowu padł bezwładny na barłóg z odpadków bawełnianych.

— Śliczności położenie — rzekł głośno — oto skutek wtrącania się do cudzych interesów... Gdybyś był misiu w mateczniku siedział... Psiakrew, jak ten czerep mnie boli!

Pomacał głowę i spostrzegł na palcach krew.

— Uczciwie mnie kropnął, ani słowa. Jeszcze odrobinkę, a nadobne moje zwłoki mogłaby kochana rodzina oblać rzewnymi łzami. Zamieszczonoby sążniste nekrologi, opisanoby moje życie z wszelkimi szczegółami spraw, w których brałem udział i o których w życiu nie słyszałem, a potem — łopatą poniżej krzyża i chodaj bracie do mogiłki.

Znowu się dźwignął i tym razem udało mu się usiąść. Ale w głowie wciąż huczało, jak w żarnach.

— Cudowny bałaganik mam pod czaszką — mruknął — mam wrażenie, że odbywa się tam jakiś wiec polityczny, na którym nikt nikogo nie rozumie.

Potem przypomniał sobie, punkt po punkcie, całą przygodę pod pałacem Rostafińskich, podsłuch, najście Dario, ucieczkę, aż do chwili, gdy wisiał już na parkanie i jeszcze moment, a byłby się znalazł na drugiej jego stronie.

— Świnia Kulka — rzekł znowu — zostawił mnie na pastwę czort wie jakiego losu. Nie wiem, gdzie się znajduję, w czyich jestem rękach i co w ogóle ci nobliwi dżentelmeni zamierzają ze mną począć.

W tej chwili do uszu jego dobiegły jakieś szmery wysoko nad głową. Urwał swój monolog i zaczął nadsłuchiwać. Tak, tam ktoś chodził — Barlamp bardzo dokładnie rozeznał kroki ludzkie. Potem wszystko ucichło na jakiś czas, ale kroki znowu się dały słyszeć.

— Jestem zatem w piwnicy, albo przynajmniej na parterze jakiegoś budynku — pomyślał znowu Oleś i zrezygnowany, zaczął czekać, co z tego wszystkiego wyniknie. — Jak barana nie będą chyba mieli odwagi mnie zarżnąć, bo kryminalik nie minąłby ich. Więc co?... Oby się tylko wydostać stąd, zanim oni dokonają ostatecznego usidlenia tej biednej dziewczyny.


Sezon sportowy kończyliśmy niewinną igraszką na lodzie...



Wiosnę przyjęły generalnymi porządkami, a zwłaszcza czyszczeniem okien i szyb, ułatwiających spojrzenie na świat..

Gdzieś opodal zachrobotało coś, jak gdyby klucz w zamku. Oleś nadstawił uszu ciekawie. Tak, ktoś szedł w jego stronę, w stronę jego więzienia. Teraz Barłamp był tego pewien. Jakoż w parę minut później otworzyły się drzwi i na progu stanęła wysoka postać ludzka z maską na twarzy.

— Pójdź pan ze mną — rzekł przybyły jakimś dziwnym, niepolskim akcentem.

— Najchętniej, łaskawco — odrzekł Barłamp, powstając z trudem z barłogu. — Przyznam się, że ta gościna niezmiernie mi się uprzykrzyła.

Człowiek nie odpowiedział nic na to, ale przepuściwszy więźnia przed sobą, poszedł wolno za nim, pilnie bacząc na każdy jego ruch.

— Dokądże to raczysz mnie pan zaprowadzić? — spytał znowu Oleś.

Przewodnik wskazał mu jedne z drzwi na lewo, przez które weszli do takiej samej nory, jak poprzednia, z niej do jeszcze jednej, stąd na schody, prowadzące gdzieś na górę. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, na który wychodziło kilkoro drzwi. Do jednych z nich podszedł zamaskowany człowiek, i otworzył je, a następnie popchnął ku nim Barłapa i zatrzasnął za nim drzwi.

Oleś znalazł się w obszernej izbie, stanowiącej coś w rodzaju sali przyjęć w małych rozmiarach i ze zdumieniem zobaczył znowu jakiegoś zamaskowanego mężczyznę, wpatrującego się w niego dziwnymi swoimi, zielonymi oczyma z takim uporem, jak gdyby chciał wydrzeć mu wszystkie myśli spod czaszki.

— Czy to z panem mam się rozmówić w sprawie niecnego napadu na mnie? — zagadnął Barłamp.

— Tak, panie — odrzekł dźwięcznym, melodyjnym głosem zamaskowany mężczyzna.

— Bardzo mi tedy przyjemnie — Barłamp jestem, — przedstawił się Oleś.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale w dalszym ciągu wpatrywał się w więźnia, jak gdyby chciał go tymi oczyma przyszyć na wskroś.

— Pozwoli pan, że usiądę — dobrze? — rzekł znowu Barłamp, siadając na jednym z najbliższych krzeseł. — Pański cerber, boć to chyba jego służący, obszedł się ze mną wcale nie po dżentelmeńsku, jego uderzenie dotychczas czuję na mojej czaszce.

— Zasłużył pan na to — odrzekł człowiek w masce.

— Czy dla tego, że dałem się pociągnąć niewinnej namiętności zobaczenia, jak żyją duchy w opuszczonym pałacu Rostafińskich?

— Nie myśli pan chyba, że ja w tę bajeczkę uwierzę?

— Mianowicie, w jaką bajeczkę? Nie wiem, kim pan jest i czy pan jest „lodzermenszem", człowiekiem miejscowym, ale myślę, że nie, bo gdyby tak było, powinienbyś pan wiedzieć, że pałac Rostafińskich od wielu lat już słynie z duchów, które w swoim czasie były największą sensacją Łodzi.

— Bardzo możliwe, ale nie wprowadzi mnie pan tą opowieścią w błąd, proszę mi wierzyć. Toż sam pan powiedziałeś, że nazywasz się Barłamp.

— Czyż ja temu jestem winien? Nazwisko to pewnie nie wydaje się panu polskim, bo nie kończy się ani na icz, ani na ski, ale to nic nie znaczy. Toż oficer księcia Janusza Radziwiłła, o czym pewnie musiał pan czytać w sienkiewiczowskim „Potopie", nazywał się Charłamp i był Polakiem, czemuż ja nie miałbym być równie dobrym Polakiem, chociaż nazywam się Barłamp? Litera docet, litera nocet — rozmaicie na świecie bywa.

— Nie o to bynajmniej chodzi w danym wypadku, czy pan jest Polakiem lub nie, ale nazwisko pana zbyt popularne jest w Łodzi, zbyt wielu ludzi wie, co jest pańską namiętnością.

— O, to wcale nie tajemnica i gdyby pan był mnie odrazu zapytał o to, najchętniej bylybym mu odpowiedział. Ot, poprostu, z braku godziwszego zajęcia, albo chęci do takiego zajęcia, pasjami lubię wszelkie niezwykłości. Dlatego to ogromnie zaintrygowały mnie duchy w pałacu Rostafińskich. Czy uważa pan, że takie zainteresowanie, z punktu widzenia tajemnic życia pozagrobowego, jest niewłaściwem?

Zamaskowany mężczyzna podsunął się do Barłampa tak blisko, że ten czuł dokładnie jego gorący oddech na swej twarzy.

— Panie Barłamp!.

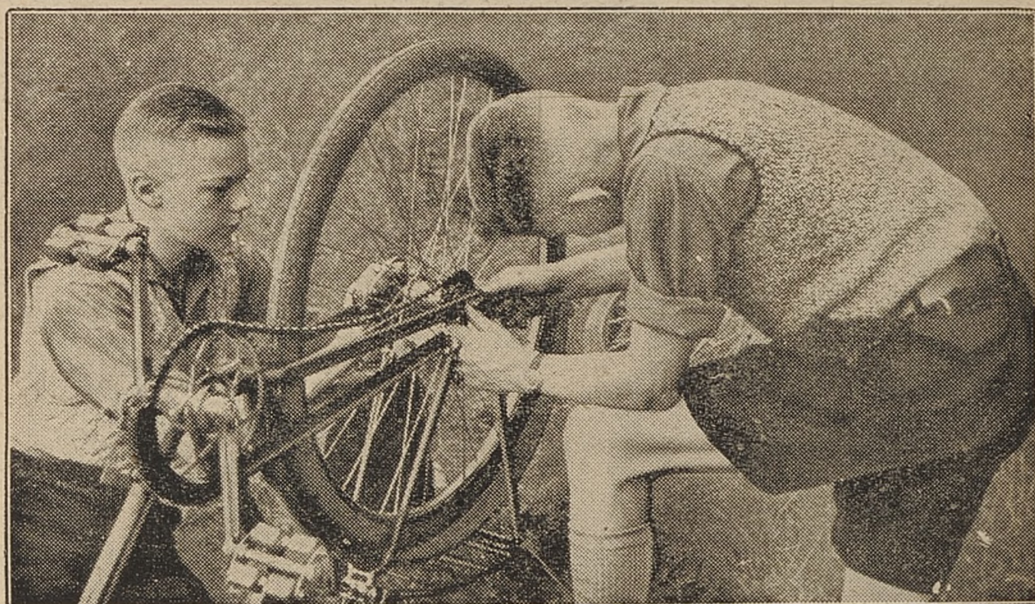
— Jestem do usług, ale nim dokończymy naszej takiej ciekawej konwersacji, może zechciałby pan kazać podać mi coś do picia i jedzenia, bo taki jestem głodny, jakbym co najmniej od tygodnia nic w żołądku nie miał.

Nieznajomy zadzwonił, a gdy wszedł cerber, ten sam, jak Barłamp poznał, który go tutaj przyprowadził, wydał mu jakiś rozkaz ściszonym głosem.

— Maleńka uwaga — uśmiechnął się leciutko Barłamp — o ile zostałby mi podany befsztyk, to zaznaczam, że lubię dużo cebuli, tak ładnie w maśle wysmażonej. Nie jestem wprawdzie Żydem, której to nacji cebula jest przypisywana za przysmak narodowy, ale cebulę lubię.

— Dobrze — rzekł nieznajomy — otrzyma pan befszyk z cebulą, ale na to musi pan jednak czas pewien poczekać. Tymczasem zaś możemy w dalszym ciągu prowadzić naszą rozmowę.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



...Reperacją stalowych rumaków...

WOJCIECH HOLM

62)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Stań biały bracie i nie bój się niczego! To ja, Masconiee, twój przyjaciel!

Uspokojony Leon spostrzegł teraz rzeczywiście zbliżającego się Masconieego z Billem.

Zobaczywszy oświetlone księżycem martwe zwłoki swej córki, padł Masconiee przed nią na ziemię i zaintonował indiański śpiew pogrzebowy.

— Mój gołąbeczku biały — skarżył się — tak wcześnie cię już straciłem? Jak sarna przebiegałaś lasy i jak róża rozkwitłaś, a teraz zasnęłaś na wieki! Włosy twe były miękkie jak jedwab, oko czyste jak kropla rosy, a głos twój świeży jak źródełko sączące się z ziemi. Ach, warkocze twe już więcej oka mego nie ucieszą, oczęta i usta twoje zamknięte na wieki! Nie usłyszę już twego śpiewu. Nie ucieszy mnie już lato! Dla mnie nastała wieczna zima! Nie nęci mnie już więcej polowanie i nie cieszy wojna! Masconiee nic już nie ma ze świata! Masconiee chce umrzeć i spotkać się na polach Wielkiego Ducha z Kudią i śpiew jej tam usłyszeć! Masconiee nie będzie szczęśliwy, dopóki go Wielki Duch znów z Kudią nie połączy!

Głos Indianina stawał się coraz słabszy, a wreszcie ucichł zupełnie. Przez krótki czas leżał, jak zdrętwiały z bólu przy zwłokach swej córki, wreszcie wstał i przystąpił do Leona z wyciągniętą przyjacielską ręką.

— Mój biały bracie — rzekł łagodnie. — Ty jesteś prawdziwym przyjacielem Masconieego. Widziałeś moich współplemieńców dziś rozszalałych jak stado dzikich wilków. Ta wódka tak im mózgi porozgrzewała i krew ich zatruła. Czerwonoskórzy powyrzynali dziś braci swego plemienia, a ty biały schroniłeś moich. Rudy lis zanurzył nóż swój w młodą pierś Kudii, a tyś mi uratował jej ciało, abym je mógł należycie pochować! Ja zaś pomściłem śmierć mej córki, zakłułem rudego lisa swoim nożem, a skalp jego jeszcze ciepły i krwawiący wisi u mego paska. Leży on na pobojowisku nieżywy i zbeszczeszczony. Zemściłem się na nieprzyjacielu, a teraz chcę się odwdzięczyć przyjacielowi! Dziękuję ci raz jeszcze biały bracie, że mi uratowałeś zwłoki Kudii! Żądaj od Masconieego co tylko chcesz! Chcesz mój wigwam? Niech będzie twoim! Chcesz skalpy wiszące u mego paska? Oto je masz! Chcesz, aby Masconiee był twoim sługą? Rozkaż tylko, a ja będę posłuszny!

— Mój przyjacielu! — odrzekł Leon wzruszony szlachetnością i wdzięcznością dzikiego Indianina — nie dziękuj mi, bo zrobiłem tylko to, co mi mój obowiązek wobec bliźnich nakazał. I ja żałuję Kudii i śmierć jej opłakuję, bo ona mnie po przyjacielsku ostrzegała i chciała mi uratować życie. O, gdybym mógł lepiej jej żywej podziękować, zamiast oddawać jej ostatnie na ziemi usługi!

Indianinowi serce rosło od tych pochwał swej córki.

— Tak jest — potwierdził — dusza jej była przejrzysta jak woda, a serce czyste i łagodne jak blask księżyca! Wraz z Kudią straciłem szczęście swego życia!

Wziąwszy w ramiona martwe ciało córki, postępował z nim powoli naprzód. Leon i Bill szli za nim w milczeniu. Zawodzenia zbiegłych kobiet indiańskich zamilkły. Masconiee jednak zdążał dalej w tym kierunku. Las stawał się coraz rzadszy, a gdy na niebie ukazała się jutrzenka, zeszli na obszerną łąkę otoczoną drzewami. Zbliżając się usłyszeli okropny krzyk kobiet, które się tu schroniły a teraz myślały, że to ich prześladowcy gonią za nimi. Jedno słowo Masconieego jednak uspokoiło je natychmiast.

Indianin złożył martwe zwłoki swej córki na wzgórzu, a wszystkie młode kobiety i dziewczęta otoczyły zmarłą.

Był to niezwykły widok, ta martwa postać otoczona wieńcem żyjących dziewcząt i kobiet, które na nowo rozpoczęły nad Kudią śpiew pogrzebowy, właściwy ich szczepowi.

Następnie matka zamordowanej zaczęła ją przystrajać. Własnym płaszczem otuliła skrwawione zwłoki Kudii. Głowę jej ustroiła perłami i kłami zwierzęcymi, które wyjęła z własnych włosów. Za jej przykładem poszły inne kobiety i wkrótce była Kudia według pojęć indyjskich przystrojona wspaniale.

Piękna, łagodna twarz zmarłej, nie była zeszpecona bólem, umarła bowiem bez walki ze śmiercią.

Masconiee nie próżnował w tym czasie. Wraz z Leonem i Billem wykopał pod drzewem głęboki grób. Potem wyścielili grób ten gałęźmi, a wszystko to robili z właściwą Indianom powagą.

Masconiee nie wydał w ciągu tego zajęcia ani jednego jęku i nie uronił, ani jednej łzy, nawet wyraz jego twarzy nie zdradzał bólu, który duszę rozdzierał.

Gdy przygotowania do pogrzebu Kudii były ukończone, obstąpiły obecne kobiety raz jeszcze jej zwłoki i zaintonowały nową pieśń żałobną.



...! radosnym uniesieniem nad pierwszymi krokusami..

Potem chwycił Masconiee zmarłą i spuścił ją ostrożnie do grobu. Przez chwilę patrzał jeszcze na zwłoki leżące w grobie a potem zawołał:

— Tak więc Kudia jest w kraju błogosławionych! Oby Wielki Duch jak najprędzej pozwolił Masconieemu pójść za nią na wieczne pola!

Następnie położył na ciało zmarłej zieloną gałązkę. To samo uczynili wszyscy obecni i wkrótce leżała Kudia zupełnie pokryta zielenią. Na te gałęzie dopiero narzucił Masconiee ziemię i uformował grób jej w nieznaczne, ledwo widoczne wzgórze, pod drzewem.

Skromna ceremonia pogrzebowa wzruszyła Leona. Przypomniała mu znikomość tego świata. Jak łatwo mógł przypadek i jego życiu położyć koniec i zniweczyć wszystkie jego plany i nadzieje na przyszłość!

Wrażenie pogrzebu nie było tak silne u kobiet indiańskich, jak u cywilizowanego Europejczyka. Ledwo ziemia pokryła zmarłą, zaczęły już myśleć o sporządzeniu posiłku.

Na prośbę ich upolował Bill trochę dzikiego ptactwa i kilka królików, nie udało mu się jednak tak dobrze z większą zwierzyną.

Kobiety wznieciły zaraz duży ogień i upiekły dziczyznę na patykach, dziewczęta zaś nazbierały trochę owoców i korzonków w lesie i uczta była gotowa.

Wszyscy obecni usiedli w kółku wokoło ognia i zaczęli się posilać, gdy wtem ozwało się silne trąbienie z rogu.

— To Lew! — zawołali wszyscy chórem i podnieśli się, aby go powitać.

Po kilku minutach okazał się rzeczywiście na wolnym placu Lew w towarzystwie Ukasa, Mucknickowa, Koha i sześciu innych Indian.

Straszny był widok tych Winebagów, bo byli bardzo poranieni.

Lew miał ogromną ranę na policzku, Mucknickow stracił prawą rękę, a Koho miał ściętą skórę z połowy czaszki.

Obiecałem cię zaprowadzić do min. Red-Rever, to prawda! Ale tu nie ma drogowskazów i gościńców, jak w waszej nudnej Europie, i można zbłądzić. Jakby nam było przeznaczone, to byśmy mimo to byli dotarli do tych kopalni, a że nam nie było przeznaczone, tośmy się zetknęli z Winebagami i uczestniczyliśmy w ich uroczystości. Dziękuj Bogu, że nas nie oskalpowali, zamiast się skarżyć i narzekać, mój drogi!

— Przybyłem do Ameryki, aby przyjść do majątku, tłumaczył Leon swemu towarzyszowi — i chcę dlatego trzymać się okolicy, w której miałby sposobność wzbogacenia się!

— Chciałeś się wzbogacić? — zapytał Bill zdziwiony. — Jakby ci to było przeznaczone, tobyś i w Europie przyszedł do majątku. Nie trzeba było po to przyjeżdżać aż do Ameryki.

— Jesteś fatalistą! — zawołał Leon — ale ja mam inne zasady. Utrzymuję, że każdy człowiek jest sam sprawcą swego szczęścia.

— Fatalistą? — powtórzył Bill. — Ja nie wiem, co to znaczy, ale nie wydaje mi się to obelgą. Zdaje mi się zresztą, że ty chcesz znów pójść między ludzi i mam na to radę. Masconiee powiedział mi, że jak będziemy ciągle szli na północ, to dojdziemy do Fort-Andrews. Czyś zadowolony?

— To lepsze w każdym razie, niż bezcelowe wałęsanie się po lasach — odparł Leon.

— Dobrze! Zatrzymamy więc kierunek północny — rzekł wierzący w fatum Anglik — jeżeli nam przeznaczono, to dojdziemy do Fort-Andrews.

Porozumiawszy się w tej kwestii, zamilkli znów obaj towarzysze i szli spokojnie dalej. Wieczorem wzniecili ogień i usiadłszy w pobliżu, sporządzali sobie skromną wieczerzę ze zwierzyny, którą Leon upolował. Podczas gdy Bill piekł na rożnie kawał upolowanej dziczyny, usłyszeli obaj z daleka tentent koni i kroki ludzkie, co było dowodem, że zbliża się więcej osób.

— Co poczniemy? — spytał Leon zaniepokojony.

— Zobaczymy najpierw, czy oni w ogóle tędy przejdą, odpowiedział Bill — je-



...A potem wyruszyliśmy wspólnie z rybakiem na wiosenne połowy...

Na widok ten zaczęły kobiety lamentować, musiały się jednak wnet na znak dany przez Lwa uciszyć.

— Wojownicy i kobiety ze szczepu Winebagów — rzekł on. — Wielki Duch okropnie nas nawiedził. Mężczyźni nasi zwilżają krwią swą ziemię, a i wielka liczba kobiet leży martwa z przebitą piersią. Została nas tylko mała garstka, a osada nasza będzie odtąd cicha i pusta.

Zamało nas teraz, aby się obronić przed nieprzyjaciółmi! Musimy więc opuścić wieś i połączyć się z Winnewarrosami. Odpowiedzcie bracia moi, czy Lew ma słusznie?

Wszyscy obecni zgadzali się z jego zdaniem.

— Dobrze więc — rzekł znów Lew — wróćmy do domu i pogrzebmy naszych zmarłych! Potem zaś wybierzmy się w drogę!

Rzekłszy to, zwrócił się naczelnik do Billa i Leona.

— Moi biali bracia! — przemówił do nich — walczyliście, jak niedźwiedzie, byliście wspaniałomyślni, mądrzy, jak węże. Winebagowie zachowają was w dobrej pamięci! Jeśli chcecie, chodźcie z nami. Jeśli macie inne zamiary, to wykonajcie je śmiało!

Bill porozumiawszy się z Leonem wzrokiem odpowiedział:

— Dziękuję ci, czerwony bracie! Ja i przyjaciel mój nigdy Lwa nie zapomnimy, ale drogi nasze muszą się teraz rozejść!

Naczelnik przyjął tę decyzję spokojnie i podał obu białym rękę na pożegnanie. Potem dał swoim znak do odwrotu.

Masconiee pożegnał się krótko z Billem i podając Leonowi rękę, rzekł:

— Nie zapomnij o Kundii!

Mała drużyna Winebagów wróciła teraz do opustoszałej wsi, aby poległym swoim oddać ostatnią przysługę. Po drodze śpiewały kobiety znów swe żałobne pienia, których echo odprowadzało Leona i Billa przez czas dość długi podczas ich wędrówki przez gęsty las dziewiczy.

ROZDZIAŁ CCXXXV

Upiór dziewiczego lasu

Przez długi czas szli towarzysze w milczeniu obok siebie, lub jeden za drugim zależnie od drogi. Wreszcie odezwał się Leon.

— Bill, dokąd my właściwie idziemy?

— Ba, gdybym ja to wiedział! — odparł Bill, wzruszając ramionami.

— Byłoby jednak rozsądniej ułożyć pierwej plan i według niego działać! — zawał Leon gniewnie. — Obiecałeś wskazać mi drogę do innych kopalni złota, a zamiast tego, prowadzisz mnie po lasach i narażasz na tysiączne niebezpieczeństwa.

— Ależ kochany przyjacielu — odpowiedział znów Bill z zimną krwią — cóż ja temu winien, że nam się nie wiedzie?



...I z rolnikiem na pierwszą orkę...



...Zdziwiliśmy się, że zdarza się jeszcze miłość zdolna piastować łańcuchy...

żeli to są biali, to nie mamy się czego bać. Pieczmy więc dalej naszą kolację!

Mimo uspakajających słów, nadsłuchiwał Bill bystro zbliżającego się tętentu kopyt końskich.

Nagle poderwali się obaj, gdyż mała kawalkada zbliżyła się do ich ogniska.

Nowoprzybyli byli to „biali" z wyjątkiem jednego Indianina. Dowódca tej kawalkady, starszy człowiek o siwych włosach i siwej brodzie, był w dziwnym, pół indyjskim, pół cywilizowanym stroju. Siedział na koniu, jak również podobnie ubrany młody człowiek i „biały" służący, którego koń obładowany był różnego rodzaju sprzętem. Czerwonoskóry ich towarzysz szedł pieszo. Zatrzymali się wszyscy w pobliżu ogniska, a stary zwróciwszy się do obu towarzyszy, rzekł po angielsku:

— Nie bójcie się, dobrzy ludzie! Zbłądziliśmy tu; może wy będziecie nam mogli wskazać drogę do Fort-Andrews, dokąd zdążamy!

— Panie — rzekł Bill — radzę wam nie jechać dalej na noc, bo droga niepewna. Spocznijcie przy naszym ognisku, a jutro rano możecie się wybrać w dalszą drogę. My was odprowadzimy, bo i naszym celem podróży jest Fort Andrews.

— Zgoda! — zawołał obcy, który nie zdawał się być zupełnie zdziwiony winebagskim strojem Billa, i zwróciwszy się do młodego swego towarzysza, zapytał:

— Ty pewnie także znużony jesteś Franciszku i chciałbyś wypocząć?

— Tak jest, ojcze! — odpowiedział zapytany. — Jestem też głodny!

Zeskoczył żwawo z konia, a ojciec i służący poszli za jego przykładem. Konie przywiązano do drzewa, ale tak aby się paść mogły; zdjęto też z nich przedtem siodła i pakunki. Stary siadł zaraz wygodnie obok ognia, ale doglądał stamtąd, aby służący zdjęli ostrożnie kilka skrzyń; potem dopiero zwrócił się do swego towarzysza i kazał mu sporządzić wieczerzę. „Biały" służący wyjął natychmiast z jednego tobołka trochę naczyń i prowiantu i zaczął się krzątać koło kolacji, przy czym młody chłopak bardzo zręcznie mu pomagał. Podczas tych przygotowań, rozmawiał stary z Leonem i Billem.

— Wędruję już kilka tygodni przez te lasy — opowiadał im — jestem badaczem przyrody i zbieram cenne egzemplarze tutejszej flory i owadów. Mam je we wszystkich tych skrzyniach i dlatego głównie wodzę ze sobą tych ludzi, abym mógł zabierać ze sobą wszystko, co znajdę zajmującego.

Bill puszczał opowiadanie to mimo ucha i zwrócił całą swą uwagę na pieczeń, którą piekł na patyku, Leon zaś przysłuchiwał się relacjom starego badacza z wzrastającym zajęciem.

— Przepraszam pana — przerwał mu Leon uprzejmie — czyż miałbym zaszczyt mówić ze słynnym badaczem przyrody, panem Hillerem?

— Skąd pan zna moje nazwisko? — spytał uczony podwójnie zdziwiony, raz że sława jego aż tu już doszła — a w drugim rzędzie światowymi manierami Leona.

— Sława pana jest tak wielka, że nawet do mnie już doszła! — odparł Leon uprzejmie.

Hiller był tym odkryciem widocznie bardzo uradowany i rozmawiał żywo z Leonem, który jednak tylko z trudnością wysławiał się po angielsku.

Bill zaś obserwował bacznie swego towarzysza, którego świadomość i uczoność nieprzyjemne na nim zrobiła wrażenie. Z drugiej strony Franciszek obrzucał Leona zdziwionym spojrzeniem.

Leon, przypatrzywszy się młodemu człowiekowi, który właściwie jeszcze był chłopakiem, dziwił się niemało, że go ojciec wziął ze sobą na tak nużącą wędrówkę przez lasy dziewicze.

Franciszek Hiller mógł liczyć najwyżej lat 16, był średniego wzrostu, bardzo wysmukły i bardzo szczupły. Twarz jego była dziecinna jeszcze, okolona krótkimi ciemno - blond włosami i bez śladu jakiegokolwiek zarostu. Rysy miał nadzwyczaj regularne, cerę delikatną, mimo że trochę opaloną, a ręce i nogi tak małe i kształtne, że Leon nie mógł im się dość napatrzeć.

Spostrzegłszy spoczywający na sobie wzrok Leona, zarumienił się młodzieniec i z niechęcią odwrócił głowę.

Tymczasem dziczyzna Billa już się upiekła, a i służący Hillera gotów był ze swoimi przygotowaniami.

— Urządźmy sobie wspólną wieczerzę — zaproponował Hiller — dajcie wy nam trochę ze swojej dziczyzny, a my wam ustąpimy część naszych potraw!

Propozycja ta wypowiedziana była tak serdecznym tonem, że Leon z Billem chętnie ją przyjęli, tymbardziej, że dawno już nie kosztowali nic europejskiego.

Tom, biały służący Hillera, naparzył wonnej herbaty, którą zaprawił silnym rumem, że jednak garnuszków dla wszystkich nie wystarczyło, pili ze wspólnych naczyń i tylko Franciszek dostał osobną filiżankę.

— On jest pod tym względem jak panienka — uśmiał się stary Hiller.

Franciszek otaczał ojca swego czułą troskliwością; dolewał mu ciągle świeżej herbaty i wyszukiwał mu najsoczystsze konserwy mięsne, które mieli w zapasie. Rozkroiwszy chleb grahama w cienkie kromki, nałożył je wonnymi płatkami słoniny, które Tom przesmażył przy ogniu. Uczęstowawszy najpierw ojca, rozdzielił resztę między swych towarzyszy.

Bill delektował się tymi specjałami i wyraził radość swą z powodu przyjemnego spotkania. Gdy się już do syta najadł i pił silny grog, rozwiązał mu się język na dobre i wtedy zaczął opowiadać



...Drgnęliśmy przed straszliwą, widmową maską wojny i bólu...



...Przed jej męką...

przejścia swe u Indian Winebagskich: Ucztę poprzedzającą polowanie, okropną walkę i rzeź która podczas tego powstała, a wreszcie śmierć i pogrzeb Kudii.

Stary Hiller przysłuchiwał się opowiadaniu z zajęciem, a Franciszek chwytał z zachwytem każde słowo Billa. Wreszcie zawołał:

— Biedna Kudia. Pan jednak szlachetnie sobie z nią postąpił, panie Jim!

Było to imię, którym Bill ochrzcił Leona, a odtąd wszyscy tak go nazywali.

Wreszcie zaproponował stary Hiller, aby się wcześnie do snu ułożyć i wcześnie nad ranem wybrać się w dalszą drogę. Postanowiono, aby kolejno każdy z towarzyszy czuwał nad resztą; tylko Hillera i syna z obowiązku tego zwolniono.

Już księżyc zachodził, gwiazdy blakły, a ciemność nocy ustępowała szaremu zmrokowi, gdy przyszła kolej czuwania na Leona. Siedział zamyślony przy ognisku, gdy wtem uczuł lekką rękę na swym ramieniu. Odwrócił się i zdziwiony zobaczył przed sobą Franciszka.

— Niech mi pan jeszcze coś opowie o pięknej Kudii! — prosił młodzieniaszek.

— Czy nie byłoby lepiej, wyspać się dobrze przed dalszą podróżą, młody panie! — zapytał Leon serdecznie — będzie pan później zmęczony!

— Nie mogę zasnąć! — zawołał Franciszek żywo — straszny los biednej Indianki nie daje mi spokoju! O panie Jim, niech pan opowie wszystko, co pan wie o Kudii!

— Nie potrafiłbym nawet opowiedzieć tego w angielskim języku — wymawiał się Leon.

— To niech pan opowie po niemiecku — nalegał Franciszek — ja rozumiem trochę ojczystą mowę pana. Powiedz mi pan szczerą prawdę, panie Jim, czy Kudia kochała pana?

Pytanie to brzmiało tak dziwnie w ustach młodzieniaszka i zadane było z taką natarczywością, że wprowadziło Leona w kłopot. Szafirowe oczy Franciszka zwrócone na niego z wyrazem smutnej powagi i głębokiego uczucia przypomniały mu dziwnie Hortensję i wzbudziły w nim coś jakby braterską życzliwość dla pięknego chłopaka. Odpowiedział więc uprzejmie na niedyskretne jego pytanie:

— Nie zastanawiałem się nad tym i nie sądzę też, aby Kudia mogła była pokochać człowieka innej zupełnie rasy i choćby tylko innego szczepu, niż jej własny. W każdym razie zasługuje jednak na moją cześć i pamięć, bo ona miała wielkie i szlachetne serce.

Opowiedział mu teraz, jak go Kudia delikatnie przestrzegała i jak troszczyła się o niego. Franciszek usiadł przy ogniu i oparłszy piękną głowę o swe ręce, nie odrywał oka od twarzy Leona. Rozumiał go doskonale i wkrótce okazało się, że on też sam bardzo płynnie mówił po niemiecku.

Leon był uszczęśliwiony, że po tak długim czasie znów mógł usłyszeć mowę ojczystą i do kogoś w języku tym przemówić. Polubił pięknego chłopca za to jeszcze bardziej i gawędził z nim z otwartością, której by mu w żadnym innym wypadku nie był okazał.

Gdy się stary Hiller obudził, zobaczył ze zdziwieniem syna swego w rozmowie z obcym.

— Franciszku! — zawołał niechętnie — doprawdy lepiejbyś zrobił, jakbyś się dobrze był wyspał, zamiast siedzieć przy ogniu i naprzykrzać się panu Jimowi. Czy myślisz, że tego pana paplanie twoje zajmuje?

— O, ojcze! — odpowiedział chłopak, rumieniąc się — nie nudziłem pana Jima swoim opowiadaniem. Przeciwnie, prosiłem go, aby on więcej jeszcze opowiedział o Winebagach, co mnie bardzo zajęło.

— Ciekawym, co cię Indianie winebagscy tak bardzo mogą obchodzić! — mruknął stary Hiller gniewnie. — Zajmij się lepiej roślinami, owadami i minerałami, to ci się więcej przyda!

Chłopak nic na to nie odpowiedział i poczedł pomóc służącemu w przygotowaniu do śniadania. Posiliwszy się, wybrali się w dalszą drogę. Hiller i syn jego wsiedli na konie, a Tom, służący ich, chciał właśnie to samo uczynić, ale Franciszek go zatrzymał.

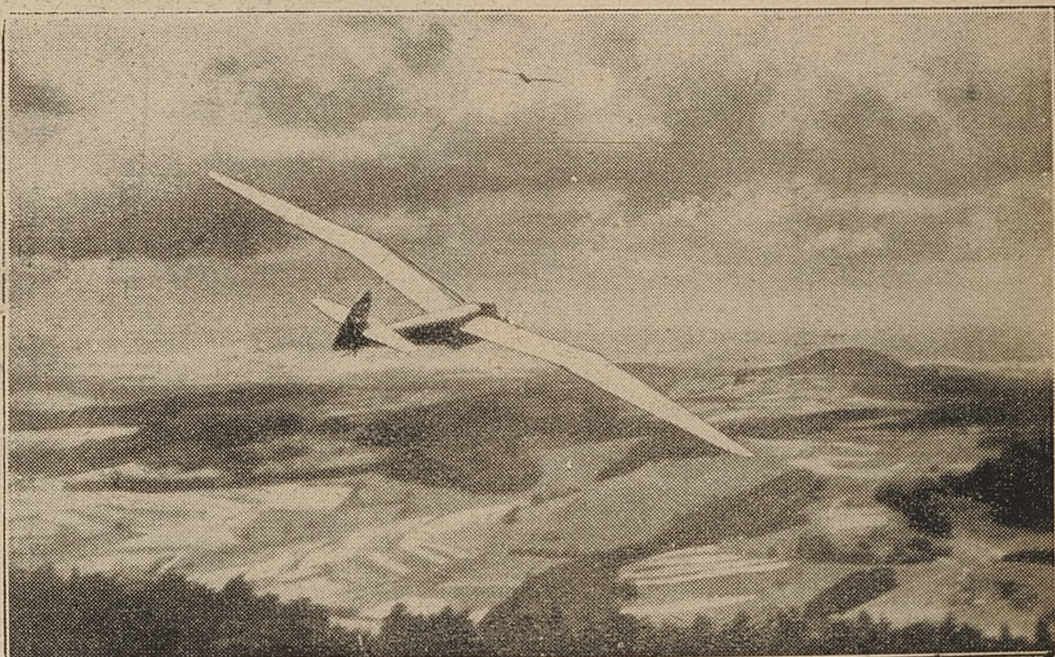
— Tom! — rzekł proszącym tonem — odstęp swego konia panu Jimowi, a jak się bardzo zmęczysz chodem, to pozwolę ci siąść z tyłu na swoim koniu!

Tom zgodził się na to, chociaż nie bardzo chętnie, ale Leon nie przyjął tej ofiary. Wolał iść pieszo, niż korzystać z czyjejś łaski!

Tak tedy konwój ruszył. Stary Hiller jechał naprzód, a obok niego kroczył Indianin, który twierdził, że teraz przy świetle dziennym znów bardzo dobrze zna drogę. W drugiej parze jechał Franciszek, który prosił Leona aby się trzymał blisko niego. Za nimi postępował Bill i Tom.

Stary Hiller jechał pomału i oglądał się uważnie wokoło siebie. Skoro tylko zobaczył jakąś niezwykłą roślinę lub owada, zatrzymał się i posyłał Indianina, aby mu to zerwał, ewentualnie złapał. Czasami zeskakiwał sam z konia, aby wykopać jakąś bardzo rzadką roślinę, starannie z korzeniem, albo złapać jakiegoś owada. Wtedy musiał Tom otwierać skrzynie, a stary badacz sam wkładał tę roślinę starannie między 2 bibuły umyślnie na to sporządzonego aparatu, a nieszczęśliwy chrząszcz lub inny owad dostał się żywcem do słoja ze spirytusem.

Ciąg dalszy na str. 1037.



...I... nierówno acz szeroko poszybowaliśmy dalej...

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu



PRZY WIGILIJNYM STOLE

W małym czyściutkim domku
płonie zielone drzewko...
wnet cały dom się rozgwarzył,
prześliczną kolędy śpiewką...
Przeprasza się ktoś nawzajem —
łamiąc się opłatkiem...
i życzy sobie szczęścia
i chleba poddostatkiem...
A dziatki małe się cieszą,
bo pod choinką na ziemi,
leżą podarki dla nich,
już wnet podzielą się niemi...
A gdy już gwiazdka zabłyśnie...
Święty Mikołaj się zjawi
i łamiąc się gwiezdnym opłatkiem...
lud ziemski pobłogosławi.
I cieszyć się wszyscy będą
i serca obdarzą uśmiechem...
bo Betlejemska Gwiazda
płonie nad wiejską strzechą...
...Bo to jest święto radosne,
Bożego Narodzenia...
więc może Pan Jezusinek....
te naszą dolę odmieni...

Jan Feliks Płóciennik.

BĄDŹ POGODNĄ, „CHMURKO"...

„Wędrowna Chmurka". Wędrowałaś sobie, „Chmurko", po błękicie nieba, zawsze beztroska i lekka, aż pewnego dnia zapragnęłaś popatrzeć w twarz samemu słonku. Udało Ci się to zupełnie i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie zły wicher, który uniósł Cię daleko, daleko od słonka. I wędrujesz sobie znowu po błękicie, ale już nie beztroska i lekka, bo pali Cię samotność i tęsknota za słonkiem. Biedna „Chmurko"! Patrzę w Twoją stronę i tak mocno, mocno proszę, abyś się nie martwiła. Zobaczysz, będzie znowu dobrze! Zaświeci znowu słonko i ten sam wicher, który Cię uniósł od jasnych, słonecznych promyków, tym samym szlakiem uniesie Cię z powrotem do nich. Bo tak już musi być, aby wszędzie i we wszystkim był pewien sens. Muszą być odpływy i przypływy. Inaczej nie byłoby żadnych walk, żadnych zwycięstw, nie byłoby tej różnorodności uczuć, jakie rządzą światem. Bądź więc dzielną, „Chmurko" i jak dawniej pogodną! Pozdrowienia Twoje, przeznaczone dla P. D. Wyrybkowskiej i „Baśki spod Koła" — przekazuję!

STARY ŻONGLER

Drżą śnieżne płatki, jak białe piórka
I zimno dzisiaj, że nie do wiary,
Ale mimo to, w kącie podwórka —
Rozłożył warsztat swój żongler stary.
Niedawno jeszcze był w wielkim cyrku
I zbierał codzień głośne oklaski,
Lecz dzisiaj ręce drżą mu nerwowo
I już nie może chodzić bez laski.
O, już nie może, lecz chodzi... musi,
Bo w domu córkę ma bardzo chorą
I dla niej właśnie od zimna się krztusi
I dźwiga codzień ten ciężki worek.
Otacza go rój dzieciaków zwykle
I do bram domów wiedzie na czele —
To mu na rękę, bo któżby grosze
Tak zawsze wiernie zbierał w kapelusz?
Któżby tak patrzył w niego, jak w tęczę,
Gdy łyka ogień najzwyklej w świecie?...
Ci ludzie z okien?... Nie wiem, nie ręczę,
Wszak im nie lepiej życie się plecie.
Wszak żongler stary to przedmiot tylko,
To bezimienny człowiek z podwórka,
A jednak... i on ma imię swoje,
Ma serce, ma dom, a w nim ma... córkę.

Maria Zemmlerówna.

Z PRZYCZYN ODE MNIE NIEZALEŻNYCH

„Miłuika Lena". Bardzo słusznie Pani zauważyła, że nieraz nie podaję w „Krainie" wszystkich komunikatów, czynię to jednak z przyczyn ode mnie niezależnych. Zdarza się bowiem czasem, że w „Krainie" brak miejsca, albo też ktoś podaje zbyt dużo pozdrowień, więc wówczas siłą faktu jestem zmuszona niektóre zdania zupełnie wyeliminować z dopisków. Przypuszczam, że wytłumaczyłam się Pani dość wyczerpująco, na zakończenie więc komunikuję Pani, że monogram Pani zostanie zamieszczony w „Mojej Przyjaciółce" na tablicy wzorów i że osoba 162 cm wysoka powinna ważyć mniej więcej — 54 kg. Zdania z listu, przeznaczone dla Sympatyków, zamieszczam:

„Halo, „Młody Orle", gdzie bujasz? Napisz znowu, czekam. „Ziuteńko", dziękuję Ci za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam. P. F. Płóciennikowi — ślę pełne uznanie za wierszyki. Może Pan i mnie jakiś maleńki wierszyk poświęci? Będę bardzo wdzięczna! Serdeczne pozdrowienia ślę także „Czarnookiej Florze", „Marzącemu Sfinksowi" i „S. 13".

I POWIEM...

„Eros". Drogi Bratańcu! Z tym cmentarzem to tak samo, jak z owocem zakazanym, który, jak wiadomo, zawsze najlepiej smakuje. Pewnie, że byłoby lepiej, gdyby jedno i drugie towarzystwo wygadało się i wyśmiało dowoli n. p. przed bramą cmentarną, cóż kiedy nie miało wtedy ochoty, tylko akurat w momencie, gdy należałoby zachować powagę. Małe dzieci możnaby skarcić, zwrócić im uwagę na niestosowne zachowanie, ale ludziom dorosłym jakoś nie wypada tego czynić. Trudna rada! Trzeba zacisnąć bezsilnie ręce i jedynie życzyć sobie w głębi duszy, aby wreszcie ludzie wydorośleli, wykulturalnieli i na każdym odcinku życia potrafili się należycie znaleźć.

Co do ludzi smutnych, uważam, że nie mają oni nic wspólnego z tymi tam z cmentarza, o których Pan pisze. Ludzie smutni, to rośliny, którym albo brak słońca, albo deszczu. Umierają z tęsknoty za czymś lepszym i w żaden sposób sobie pomóc nie mogą, skoro losy życia są dla nich niełaskawe. Inna rzecz jest z ludźmi niezadowolonymi. O, tym można radzić w ten sposób, jak właśnie Pan poradził, t. zn. aby usilnie poszukiwali sobie jakichś emocyj i punktów zainteresowań.

Zresztą... tak! I ludziom smutnym należy podsuwać zainteresowania, tylko należy to czynić delikatnie, subtelnie i... „Erosie" — nie to, co Ty wymieniłeś!

Projekt Pana, dotyczący rozszerzenia programu radiowego — upada, gdyż nie możemy robić konkurencji „Antenie". Również nie zdecydowaliśmy się na przeniesienie kącika „Chwila zastanowienia" do „Krainy". Kto — widzisz — lubi rozwiązywać zadania, ten je znajdzie zawsze, boć zresztą nie tylko dla samej „Krainki" prenumerują Czytelnicy „Moje Powieści".

Co do prowadzenia dyskusji na aktualne tematy, to absolutnie nie mam nic przeciwko takowym — tylko znajdzie odpowiednie i przeprowadźcie do heroicznego końca. Obawiam się, że rzeczywiście zbyt grzeszymy, jak powiedziałeś słomianym ogniem.

Numery okazowe dla tych Państwa zleciłam wysłać administracji, dla Pana też.

„Psychoanaliza" pytała wszak niedawno o Ciebie i mam jej nowy adres. Posłałam pod ten adres Twój, Miły „Erosie", list. Czy jesteś już trochę zadowolony?

Teraz postaram się jeszcze podać wszystkie komunikaty i będę miała Twoją korespondencję załatwioną. A nową będę załatwiała już po Nowym Roku. Czy to nie cudownie?!

Śmiać się teraz będziesz z „Ciotuchny", gdy poniżej przeczytasz kilka komunikatów dla tych samych pseudonimów, ale co już mam z Tobą zrobić! Załatwiłam wszystkie Twoje listy od razu, abyś już przestał mi czynić nieustanne wymówki. A jak on Nowego Roku zaczniesz zrzędzić po staremu — to się Ciebie wyrzeknę i oficjalnie oświadczę w „Krainie", że nie jestem żadną „Ciotuchną" i nie mam żadnego bratańca. Więc?!...

Wesołych Ci i śpiewających w radio toruńskim Świąt życzę, o Bratańcu mój, zawzięty „Erosie"!

„Halo! „Psychoanalizo"! Gdzie obracasz się? List wrócił, napisz, serdeczne pozdrowienia.

„Marylo spod Wągrowca", dziękuję za pamięć i odwzajemniam pozdrowienia. „Hord", ściskam łapę!

„Waldemira", ślę radosny uśmiech, może napiszesz?

„Orlico", życzę serdecznie spełnienia dobrych przewidywań i moc serdeczności.

„Przedwiośniu" i „Szarej Dziewczynie" dziękuję za pozdrowienia i ślę ich również moc.

„Psyche", czekam wieści! Adres zwykły.

„Przedwiośnie" — ślę słowa uznania i radosne pa!

„Bajkę" pozdrawiam serdecznie.

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom uśmiech radości, życzenia świąteczne i wesołe pa!

JAK MI WSZYSCY POMAGAĆ BĘDZIECIE!

„Przedwiośnie". Postaram się zwięźle odpowiedzieć na trzy Twoje listy. Na ten z września mogę śmiało stwierdzić, że dotrzymałaś przyrzeczenia i nie na wiatr rzuciłaś, przytoczony w nim wierszyk.

„Wszystko w tym życiu to blichtr i lichota.
Dwóch jeno rzeczy nic nie obali:
W strapieniu bliźnich miej serce ze złota,
W strapieniu własnym — ze stali".

Chciałam Ci również powiedzieć (mówiłyśmy także na ten temat) że nowela p. Czekalskiego p. t. „Stara Bajka" była oparta na wersjach francuskich, ale nie tłumaczona dosłownie, ani też zgodna w szczegółach z nowelą omawianą. Wspaniała jesteś, że dajesz dopisek dla Sympatyków na specjalnej karcie i po jednej stronie — ani się z pewnością domyślasz, ile mi tym zaoszczędzasz pracy. Dobrze mi się z Tobą, Dzieciaku, żyje — muszę to wyznać szczerze i otwarcie!

Cieszę się bardzo, że tyle zadowolenia dało Ci poznanie osobiste „Czarnego Hajduczka" — postaraj się nie zlekceważyć tej znajomości i zamień ją zwolna w przyjaźń głęboką i trwałą. Ci ludzie, którzy mają chociaż jednego prawdziwego przyjaciela, nigdy nie są dogłębnie nieszczęśliwi, bo tylko osamotnienie pogrąża człowieka bez reszty.

Wszystko, co mi napisałaś w odpowiedzi na mój ostatni list, ma swoją umotywowaną rację, nie mniej, ja wiem, co wiem, i niech już tak zostanie!

Chcesz, abym się wypowiedziała na temat mej własnej pracy — hm... trochę mnie pewnie przeceniasz, Ty Mała Złota Idealistko. Owszem, mam to ciche życzenie osładzania bliźnim doli — lecz to nie jest łatwe i dlatego moje wyniki są małe. Ktoś tam uśmiechnie się przez łzy, co nie zdążyły jeszcze obeschnąć po szarpiącym bólu; ktoś drgnie radością, gdy niespodziewanie otrzyma dwa, trzy życz'iwe słowa; inny roześmieje się beztrosko, gdy mu coś szepnę dowcipnie — całość, niestety, bardzo, bardzo znikoma, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę setki i tysiące bolejącej ludzkości. Bo każdy człowiek ma swój, jeżeli nie wielki ból, to drobny bólik i każdy potrzebuje odpowiedniego, trafnego słowa lub czynu, co by go uśmieżył. A skąd i jak mogę trafić ja do tych wszystkich sumień i serc?!...

No, ale jak mi Wy wszyscy, cała „Rodzinka" — pomagać będziecie, to wierzę, że sporo też otrzemy i niejeden uśmiech na twarze wywołamy — tego winniśmy życzyć sobie wspólnie na te najradośniejsze i najcudowniejsze Gwiazdkowe Święta!!!

Dopisek dla Sympatyków:

„Maleńka Lusiu" — dziękuje Ci Kochana za milutkie pozdrowienia i uścisk dłoni, które w dwójnasób odwzajemniam. Napisz proszę do mnie i pozdrów „Irkę". Pozdrawiam p. Zosię Michelsównę, z którą pragnę nawiązać wymianę myśli. Czy wolno?

„Malutka" — musi być z Ciebie kochane Stworzonko. Wydajesz mi się b. bliską. Moim marzeniem, któremu też nie było danym się zrealizować, były studia literatury. Miło pozdrawiam i uśmiecham się do „Malutkiej" Dla „Dziewczęcia z nad brzegów Wisły", „M. S.", „Brzydkiej Lusi", „Zuch — Dziewczyny", „Paproci Pom.", „Zadumanej Dusi", „Samotnego Mieszczucha", „Paganiniego z Pałuk", „Erosa", „Herda" i p. Tadeusza Ch. zasyłam moc serdecznych pozdrowień i gorącą prośbę o szczere liściki.

„Tartuk" — Pan milczy? Dlaczego?

Mym Kochanym Dziewczynkom — „Białej Uajali", „Carmen" dużo całusów.

„Ciemnooka Irko" — ależ bezwątpienia. Będzie mi bardzo miło. Czekam więc, Miła Dziewczynko i ślę Ci dużo radosnych uśmiechów.

„Zuch Dziewczyno" — za serdeczności ślicznie dziękuję. Pragnę otrzymać od Pani kilka słów. Dobrze?

„Smutnej Iwonce" ściskam rączki i dziękuję za miłe pozdrowienia.

„Anetce III.", „Maleńkiej Liany", „Jadzi", „Maryli spod Wągrowca", „Marzącemu Sfinksowi" — dużo pozdrowień!

BOLI MNIE SERCE

„Zapomniana Sylena". Och, jak mi ciężko, Kochanie, że tak Ci los dokucza! Gdyby to leżało w mej mocy, posłałabym Ci podarek gwiazdkowy. Byłoby nim pięknie w „anielskie włosy" zawinięte — szczęście i w srebrny stanioł okuta dobra posada. Ale tak... co ja Ci mogę dać, Dziewczynko smutna, prócz kilku ciepłych, współczujących słów?... Boli mnie serce w tej chwili, boli naprawdę i zupełnie nie mówię tego na efekt! Pomódlmy się mocno dziś i w ten wieczór święty — u żłóbka Bożej Dzieciny — może wysłucha naszej wspólnej prośby i da Tobie posadę, a okrasi ją zadowoleniem. A jak Ci to da, to całe życie bądź Jej wdzięczna i oddaj kiedyś — jeżeli będziesz mogła — innemu potrzebującemu. Więc nie traćmy nadziei — Bóg jest dobry i Wielki!!!

„Halo! „Lusiu Szczebiotko"! Dowiesz się, dlaczego mi smutno, jeżeli napiszesz do mnie. Odpowiem Ci na pewno.

„Romantycznemu Cyganowi" miłe pozdrowienia i prośba choć o jedno słowo.

„Łobuzie z Orchowa" — niewielka odległość nas dzieli. Czy nie zechciałbyś zainteresować się kimś, kto myśli o Tobie i przesyła Ci miłe pozdrowienia.

„Czarnooka Wando" — jak Tobie życie płynie? Może napiszesz?

Serdeczne pozdrowienia dla: „Echa Wsi", „Zawieruchy", „Blondynka z Pałuk", „Elżuni z Chełmna", „Królewny Bałtyku", „Marzenki", „Tuberozy".

Życzenia świąteczne i miłe pozdrowienia dla p. Salki K. ze Żnina od znajomej.

„Czarna Recho" — czyś zerwała kontakt z „Krainką"? Martwi mnie, że nie otrzymałam odpowiedzi na wysłaną Ci pocztówkę. A może zmieniłaś, Reniu, adres — proszę Cię daj mi o sobie bodaj najmniejszą wiadomość!

„Bursztynowe Serduszko" — gdzie teraz jesteś? Czy fotografia podoba Ci się, a myślisz trochę o mnie? Przykro mi i ciężko, że nie otrzymam listu od Ciebie, jak za rok — Tyś taka kochana, kto Cię mógłby zastąpić!

Gdyby „Mała Konwalijka" chciała mnie pokochać, miałabym drugą taką siostrzyczkę. Proszę Cię „Mała Konwalijko" za pośrednictwem p. Zofii o list i ślę Ci gorące życzenia świąteczne!

„Oneczku" — zainteresowałam się Tobą, zdradź — kim jesteś!

Dla całej „Krainy" niesłychanie dużo dobrych życzeń szczęścia i pomyślności!

W NOC WIGILIJNĄ...

Kolędy słów szeleszczących
w gałązkach pachnących lasem...
wiatr białym opłatkiem śniegu
z przyszłością dzieli się naszą...!
Dzwoniące muszelki sanek
wśród dzwonków z perłowej piany...
wspomnienie: radość dzieciństwa,
biała kolęda zawiana —
— — — — — — —
Biała zaduma. Gwiezdna wigilia...
Noc za oknami —
Miłość odległa — smutkiem złączona —
jest poza nami —
Kolęny dawne. Radość bezsłowna,
w spojrzeniu matki...
Na dłoniach — drżących
łez pocałunki w białych opłatkach...
Cisza przedświtu —
Noc zgasła w oknach gwiazdą najpierwszą...
Białe opłatki skruszone słowem...
w świątecznym wierszu...

Józef Baranowski.

ZAWSZE!

„Alzatraz". Ależ też dziwny obrał Pan sobie pseudonim, Boże Drogi! I jakoś nie przypominam już sobie Pana — no, skoro przez tak długi czas milczałeś! Cieszę się, że przypomniałeś sobie „Krainkę" tuż przed Gwiazdką. Teraz się już popraw proszę i niech Ci się nie zdaje, że jak masz smutne i ciężkie przejścia, to my Ci już stajemy się wrogiem. Zawsze chcemy Ci być towarzyszami, w dobrej i złej doli — pamiętaj!

Zasyłam dobre życzenia i wyrażam niniejszym Twoje pozdrowienia przesłane mi dla „Maleńkiej Tajemnicy".

NAPISZ SZYBKO!

„Jasieńka". Posłałam Ci wreszcie zalegający list i wpisałam sobie Twój adres. Tylko, że w międzyczasie zmieniłaś zdaje się pseudonim. Napisz mi proszę szybko list, abym Cię mogła zidentyfikować i znać już dokładnie Twój adres.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i pozostaję w w niecierpliwym oczekiwaniu.

Teczka Wujka Janusza

DZIEWCZYNA I KRUKI

Głuche tu pustkowie,
Nie widać nikogo,
Tylko czarne kruki
Spacerują drogą.
Tylko czarne kruki
Drzewa oblepiają,
Tym swoim krakaniem
Smutek oznajmiają.
Smuci się dziewczyna
I zalewa łzami,
Że została sama
Z czarnymi krukami.
Nie smuć się dziewczyno,
Przyniesie ci znowu
Kwiecista wiosenka,
Szczęście twe tęczowe.
Nie smuć się, dziewczyno,
Prysną smutku chwile,
Kruki w dal pofruną,
Nie będzie ich tyle.

Helena J.

WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU, NOWELA — NIE!

„Te - Em". Nadesłana nowelka jest zupełnie dobrze opracowana, jednakże na tak banalny i wytarty, (że tak powiem!) temat, że postanowiłem jej nie zamieszczać. Znacznie więcej podobają mi się wierszyki Pana, to też wszystkie odłożyłem do teczki.

„Co zrobić, aby za nowelę dostać forsę?" — Trzeba najpierw stać się literatem w całym tego słowa znaczeniu, trzeba wyrobić sobie zaufanie i sympatię wśród czytelników, a wówczas... wówczas sami przyślą Panu forsę i w dodatku grubą forsę.

Pewny jestem, że przy powyższych słowach westchnie sobie Pan — smutnie i głęboko — i nie bez powodu, to pewne. Trudno bowiem czekać tak długo, aż zaczną przysyłać z własnej dobrej woli forsę, rozumiem. Pocieszyć jednak Pana mogę, że czasy te nadejdą kiedyś. Ilekroć bowiem czytam wiersze Pana czy nowele i przywołuję na pamięć tę młodą twarz z fotografii, zamieszczonej kiedyś w „Krainie", tyle razy uśmiecham się w tej błogiej myśli, że spod moich skrzydeł wyjdzie kiedyś — człowiek. I będzie nim właśnie mój Przyjaciel — „Te - Em".

Dopisek Pana zamieszczam:

„Duśko", ślę Ci moc serdeczności i życzę dużo radości i wesela przy stole wigilijnym.

„Dumko", przyjmij ode mnie życzenie świąteczne i Noworoczne.

„Zbijobruk Poznański" jest proszony o jedno:, aby napisał, albo... albo... Bo właściwie to może w Poznaniu będę na Nowy Rok.

P. M. Grzegorskiego zapytuję, dlaczego nie odpowiedział na mój list. Czyżby fotografia przeraziła?"

PRZYJDŹ...

Czemu cię nie ma tutaj dziś ze mną,
Czemu odeszłaś ode mnie bez słowa?...
Czy wiesz, żem dzisiaj na wszystko gotowy,
Bo mi bez ciebie tak smutno, tak ciemno.
Bo mi bez ciebie tak smutno, tak ciemno,
Bez sensu, celu wydaje się życie,
Czasem wieczorem, w noc późną, o świcie,
Przepaść się tworzy rozpaczy przede mną.
Co ja sam zrobię bez ciebie na świecie,
Komu opowiem o bólu, o troskach?...
Czemu nie chciałaś przy mnie wtedy zostać?...
Odeszłaś nagle i bez słowa przecie...
Przepaść się tworzy rozpaczy przede mną,
Kiedy pomyślę o mojej przyszłości
I o tym marzę, kiedy znów zagości
Szczęście i radość... Wokoło tajemna...
Tajemno wszędzie, bo nie wiem, czy kiedyś
Będę szczęśliwy, czy wróci, co było...
A może legnę gdzieś z głodu bez siły,
A może zginę wśród nędzy, wśród biedy?
A może zginę wśród nędzy, wśród biedy,
Bom w smutku nie mógł pracować dla chleba
Bo mi w tej pracy pomocy potrzeba,
Pomocy, która zginąć marnie nie da!...
Dzisiaj cię wołam, byś przyszła znów do mnie,
Bo żar miłości w mym sercu wciąż płonie,
Ja ucałuję i usta i dłonie,
To — żeś rzuciła mnie przedtem — zapomnę.

„Te - Em".

NIE ZASŁUGUJĘ NA TO MIANO!...

„Maleńka Dzidzi". „Kochany Staruchu"? — ale! cóż znowu! Gdyby „Maleńka Dzidzi" zaraz po tym nie napisała „Najmilszy Januszku", to gotówem się obrazić. Bo absolutnie nie zasługuję na to miano, wziąwszy pod uwagę jeszcze i to, że dotychczas nie przekroczyłem trzydziestki. A widzisz, „Maleńka Dzidzi", jak to nieraz imaginacja ponosi młode główki!... Proszę, nie myśl jednak, że gniewam się na Ciebie za to określenie! Sytuację uratowało bowiem to — „Najmilszy Januszku"... Gdybyś mnie teraz zobaczyła, sama przybrałabyś taki sam wyraz twarzy, jaki ja w tej chwili posiadam, t. zn. rozpromieniłabyś się szerokim, niepowstrzymanym uśmiechem.

Przypuszczam, że w Wiśle zabawisz się pięknie i nawet „z dancingami dasz sobie rady", jak mnie buńczucznie zapewniasz. Oby tak było! Życzę jak najszczerzej!

Wierszyki — słodkie! Pójdą wszystkie do druku, tylko nie na okładkę, gdyż narazie nie posiadamy odpowiednich klisz.

TROSKA

Gdy idę przed siebie białymi polami —
Cicha rozpacz w duszy kołacze
I choć oczy moje nie są zmyte łzami,
To jednak... nie będzie inaczej.

I boję się dni moich... i boję nocy,
Choć tyle jasnych gwiazd na niebie —
Jest ciemność tylko i tyle jest w niej mocy,
Że mogłaby mi — zabrać Ciebie.

Kiedy się czuję — taka mała właściwie —
To czasem, wiesz, po nocy płaczę,
To czasem przenika mnie myśl natarczywa,
Że... Cię już nigdy nie zobaczę.

„Maleńka Dzidzi".

Raj kobiet





Wytworna w swej prostocie zastawa do obiadu, wykonana z tak modnego obecnie jenajskiego szkła. Trzeba jeszcze tylko zręcznie rozrzucić na serwecie gałązki świerku i może kilka żywych kwiatów, a całość wypadnie ogromnie miło i da skończenie świąteczny nastrój.

Stół uroczysty

Przy uroczystościach familijnych, na dzień imienin, na Gwiazdkę, czy święta wielkanocne, stara się gospodyni domu o specjalnie staranne nakrycie stołu, aby i przez to się przyczynić do uroczystego nastroju dnia. Przy każdej uroczystości stanowią kwiaty najmilszą, najpiękniejszą ozdobę stołu. Stosownie do pory roku i danych stosunków, wybieramy skromniejsze lub kosztowniejsze kwiaty. W wypadku, gdy obchodzimy dzień urodzin lub imienin, powinniśmy się postarać choć o skromny torcik lub babkę, którą ustawiamy na środku stołu, przyozdabiamy misternie, także nieraz płonącymi świeczkami. Na Gwiazdkę i na Sylwestra dekorujemy stół gałązkami świerku (w braku tegoż) zieloną wstążeczką, którą wokoło mniejwięcej 5 cm od brzegu obkładamy. Na stole wielkanocnym nie zabraknie rozmaitych kolorów: maleńkie gniazdka z pociętej drobno zielonej bibuły z różnokolorowymi jajkami przy każdym talerzu położone robią przy stole wielkanocnym specjalnie miły nastrój. Ładnie nastraja duży bukiet w pośrodku stołu z wiosennych kwiatów. Oryginalną dekoracją stołu wielkanocnego będzie zastosowanie różnokolorowych wstążeczek, rozchodzących się spod pisanek, ułożonych na talerzu. Koniec wstążki może przykrywać kwiatek.

Stół weselny przybieramy tylko białymi kwiatami: różami, goździkami, mirtą, chryzantemami lub dowolnie innymi białymi kwiatami. Natomiast przy dalszych obchodach, na pamiątkę dnia ślubu, gdy to zapraszamy w rok swoich bliskich i dobrych znajomych, można przystroić stół różnokolorowymi kwiatami. Na uroczystość srebrnego wesela dodajemy do białych kwiatów trochę sztucznych srebrnych listków, srebrnych wstążek lub tym podobne. Podobnie na złote wesele, tylko zamiast srebrnych, dajemy złote ozdoby. Ostatnie dwie wymienione uroczystości zwykle obchodzimy szczególnie uroczyście. Jakąkolwiek uroczystość w domu obchodzimy, zależy od pani domu, aby dzień ten w gronie rodzinnym wypadł jak najuroczyściej. Przyczynia się to bardzo do utrwalenia więzów rodzinnych, radością napełnia serce, umacnia i krzepi umysł na dalszą szarzyznę dni powszednich. Kto w domu, w swoich czterech ścianach znajdzie radość, będzie się czuł szczęśliwy i zadowolony i nie będzie nad tym myślał, aby szukać jej poza domem.

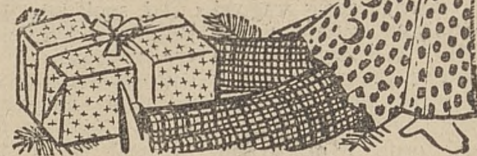
Wieczór wigilijny

Piąta godzina. Wcześnie dziś skończył. Narzucił futro, wziął kapelusz i szybkim krokiem przebiegł schody szpitalne. Jeszcze parę kroków przez sień i znalazł się na ulicy. Owiało go mroźne, grudniowe powietrze, prószył lekki, zimny śnieżek. Łaknął dziś tego mrozu i dobrze mu teraz było. Od rana bowiem był jak w gorączce. Dziwne to było. Dotąd zawsze tak chętnie przebywał wśród chorych. Pracował z całym zamiłowaniem. Dziś jednak zmuszał się do wypełnienia obowiązku, coś go wołało, coś go gdzieś pociągało, gdzieś daleko, dokąd jednak? Wytężał słuch i czucie ku temu wezwaniu z dali i nie rozumiał. Chciał więc zająć się pracą, zagłuszyć to nieznane wołanie przestrzeni i pracował ze zdwojoną gorliwością. Ale gdy zmęczony ustawał, ogarniało go jakieś tajemnicze, niepokojące ciepło, czuł zbliżanie się jakiegoś przebłysku świadomości, przed którym, nie wiedząc dlaczego, uciekał. Zasadniczo nie wierzył w żadne modne spirytyzmy ani tym podobne izmy, ale mimo to lękał się tego ciepła, które go dziś tak często oblewało wraz z jakąś dziwną jaśnią świadomości, na której końcu czuł, że jest jakaś wiedza. Pragnął jej, a równocześnie doznane czucie napawało go lękiem. Po południu pracował spokojnie, ale po skończonej pracy ogarnął go niepokój. Uczuł pragnienie wydobycia się na wolną przestrzeń. I oto teraz z lubością poddaje się zmaganiu pyłu śnieżnego.

Ślicznie wyglądało miasto w tumanach śnieżnej zadymki. Na tle świateł lamp łukowych rozsypywały się snopy całe drobniutkich, brylantowych gwiazdeczek, to znowu odsłaniały się długie chodniki ulic, wyścielone grubym kobiercem lśniących igiełek śnieżnych. Przechodnie otuleni w futra mijali się szybko. Przewijały się przed oczyma jego twarze uśmiechnięte, zarumienione, promieniejące jakąś odświętną radością. Ach, to wieczór wigilijny! — przypomniał sobie. Wtem zbliżyło się do niego skulone dziewczę, wyciągając bukiecik fiołków. Zmarznięte kwiateczki cieplarniane tuliły się do siebie w małym bukieciku, a ich sprzedawczyni ściskała je w zsiniałej dłoni i modre oczy błagalnie spojrzały w twarz lekarza. Coś go ukłuło. Nie lubił takich widoków. Kląłby teraz cały świat. Poszukał w kieszeni i rzucił dziewczęciu dwu czy pięciozłotówkę — sam dobrze nie wie-







dział — porwał bukiecik i nie czekając na podziękowanie umknął. Ale nie wiedział, czy uciekał przed dziewczęciem, czy przed światem i ludźmi. Wiedział tylko, że nie mógł teraz patrzeć na rozanielone twarze damulek w bogatych futrach. Czuł ból i żal. Uciekał.

Nie mógł doprowadzić do harmonii między sobą a ludźmi i życiem. Często mówili mu koledzy, że nie powinien być lekarzem. Rozumiał to: nie mógł nauczyć się uważać pacjenta za złotodajną kopalnię, jak niektórzy z nich. Ale mimo wszystko zawodu nie porzucił, ani nie wyrzekł się swych zasad. Tylko często, o często coś go tak jak teraz bolało. Zacisnął zęby i aby nie patrzeć na przechodniów, wpatrywał się w gwiazdeczki śniegu. I powoli zwróciło jego uwagę ich piękno. Błyszczały, jak ozdoby choinkowe w ten wieczór wigilijny. Ach, jak to one niegdyś błyszczały mu; jak pięknie uśmiechały się do niego podobne gwiazdeczki z choinki widzianej dawno, w szczęśliwych latach dzieciństwa. Machinalnie przechodził teraz dobrze znane ulice, a w duszy odżywały błogie wspomnienia.

Ciepły pokoik, tonąca w powodzi światła choinka, piękna twarz ojca w mundurze oficera i śliczna, promienna, z takim dobrym, tkliwym uśmiechem twarz matki i jej cudne, czarne oczy, w które często wpatrywał się mały Jasio. Coś go chwyciło za gardło i nieznośnie trzyma...

Głos syreny automobilowej obudził go z zamyślenia. Właśnie miał przechodzić jezdnię. Po puchowym kobiercu śmignęły, krzyżując się, dwa niskie, długie auta. Przeszedł. Nerwowo wyciągnął zegarek. Pół do szóstej. Do dworca jeszcze jakie dwadzieścia minut, a o szóstej odjeżdża jakiś pociąg. Zdąży na czas. Zdwoił krok, czuł potrzebę pędu. Wtem nowe wspomnienia zaczęły tłumnie zbiegać się w pamięci. Z chaosu wywołanych obrazów wyłoniła się jakaś twarz. Blada, ściągła twarzyczka dziewczęcia w okoleniu ciemnych, brązowych prawie włosów. Serce uderzyło mocniej. Niestety! i to echo innych lat! Dawne, dawne dzieje... lepiej nie budzić wspomnień. — Spojrzał przed siebie, ściągając mocno brwi, jakby chciał lepiej przypatrzeć się ulicy. Ale oprószone śniegiem kamienice niczym nie różniły się od siebie. Tu i ówdzie tylko zwracały uwagę reklamy świetlne lub jasno oświetlone wystawy sklepowe. Ruch stopniowo wolniał, mimo wczesnej pory!

Zawrócił w boczną ulicę. Zdala już dochodziły go ciche tony kolędy. Zbliżał się do klasztoru, przy którym mieścił się zakład dla sierot. Radosnym „Bóg się rodzi" dzwoniły dziecięce głosiki. Jakże tam ciepło, dobrze i jasno — pomyślał. Odczuł bolesną tęsknotę za tą ciszą i odosobnieniem od świata. Przykro teraz odczuwał zimny podmuch śnieżycy.

Załkało mu w duszy i nową falą rzuciły się wspomnienia, ale nie jasne szczęśliwego dzieciństwa, lecz bolesne wizje dantejskiego piekła dwudziestego wieku. Z chaotycznego wiru rozfalowanego tłumu wyłoniła się znowu ściągła, blada twarzyczka dziewczęcia. Brązowe włosy, rozrzucone bezładnie okalały ją, a szeroko rozwarte oczy miały wyraz rozpaczy, niemal szału. Ramiona starała się bezskutecznie uwolnić z rąk żołdaka. Chciała biec ku rodzicom, stojącym przed szeregiem podniesionych luf. On stał obok, również pod strażą. Młody chłopak nie uronił ani jednej łzy. Stał z zaciśniętymi ustami. Spojrzał raz tylko na swego opiekuna i jego żonę, potem rzucił wzrok na ukochaną towarzyszkę swego dzieciństwa, zacisnął pięści i spuściwszy oczy w dół, czekał końca egzekucji. Młodziutkim chłopcem był jeszcze, a już umiał panować nad bólem. Zbyt wiele już przecierpiał, dużo okropności widział. Wszak w ten sam sposób stracił rodziców.

Potok jaskrawego światła wyrwał go z zamyślenia. Doszedł właśnie do rogu uliczki, która wychodziła na jedną z głównych ulic miasta. Ruch tu był znacznie większy. O kilkadziesiąt kroków widniał dworzec kolejowy. Bardzo szybko, biegnąc prawie, dotarł do westibulu dworcowego. Kupił bilet i podążył na peron. Długi, czarny szereg wagonów stał spokojnie. Lokomotywa dyszała ciężko. Pasażerów było niewielu. Wskoczył do jednego z wozów i usiadł z zadowoleniem. Uciekł od ludzi i od własnych myśli. Nie zastanawiał się dokąd jedzie. Byle jechać i to prędko i daleko! Łaknął pędu i przestrzeni. Wcisnął się w kąt pustego przedziału i czekał chwili odjazdu.

Wnet rozległo się trzaskanie zamykanych drzwiczek wagonów i pociąg ruszył, sapiąc. Lekarz przypomniał sobie, że ma w kieszeni nieprzeczytany dziennik. Wyjął go i przebiegłszy wzrokiem nagłówek zaczął szukać interesującego artykułu. Wtem ujrzał nazwisko swoje u dołu drugiej strony i czytał: „JWielmożnemu Panu D-rowi Janowi Zrębińskiemu za wyleczenie z przewlekłego cierpienia, bezinteresowną i troskliwą opiekę lekarską — tą drogą składam najserdeczniejsze podziękowanie". Takie podziękowania sprawiały mu zawsze przykrość więc z niesmakiem już przeglądał dalej dziennik. Zatrzymał się chwilę na informacji o nowych wydawnictwach, przebiegł oczyma kronikę dnia i odłożył dziennik.

Pociąg szybko posuwał się naprzód. Niebo iskrzyło się gwiazdami i patrzyło odświętnie tak jakoś pogodnie i radośnie na pola i lasy, spoczywające pod grubą pościelą śniegową. Tu i ówdzie migały przed oknami pociągu osiedla ludzkie. Małe okienka tonęły dziś w blasku, a niekiedy i tony kolędy dochodziły do uszu Jana. Oczyma duszy przebiegł ziemie polskie wzdłuż i wszerz, zajrzał do chat, domów mieszczańskich i dworów i zewsząd bił radosny śpiew, głoszący światu i niebiosom, że dziś: „Bóg się rodzi" i szły te głosy „Wśród nocnej ciszy", płynęły szeroką falą rozmodlenia, ekstatycznej prawie radości. W najuboższych nawet izdebkach ten jeden dzień starano się uczynić wesołym. Ale przenikliwy wzrok Jana zajrzał i tam, gdzie pieśń dławiły łzy i tam, gdzie zmartwiałe cierpieniem usta nie wydawały mi śpiewu ni jęku, a rozwarte szeroko oczy beznadziejnie wpatrywały przed siebie i tam skąd ciche szczęście wypędziła złość i namiętność człowieka. I znowu coś go zabolało, szczęki zacisnęły się mocniej. — Tam do licha! Wciąż ta babska tkliwość! — strofował siebie Jan.

I dla pokonania babskiej tkliwości powstał szybko, przemierzył paru krokami przedział i wyjrzał na korytarz wozu. Ale i tu nikogo nie było. Pociąg jechał prawie pusty. Oparł się o drzwi przedziału i patrzył przed siebie. W oknie wagonu przesuwały się jak w kalejdoskopie wycinki krajobrazu. Równina białych pól, to wzgórek jakiś, ukryta w śniegu krzewina, chatynka mała, to jasno oświetlone okna budki kolejowej. A z tej przestrzeni zdawało się płynąć nieznane wołanie. Miękko obejmowało go jakieś delikatne ciepło. Coś niby gęsty opar kładło się na ramiona, zesuwało po skroniach. Nie widział niczego, ale czuł. Wzmógł się niepokój w duszy, coś go wołało znowu w nieznaną mu dal. Pociąg zbliżał się do stacji. Jan czuł, że to gdzieś, jakby od szerokiego pasa drogi — woła na niego przestrzeń, przyzywa go mocno i prawie ciągnie ku sobie. Nie mógł się dłużej sprzeciwiać i gdy pociąg zatrzymał się, wysiadł.

Rozglądając się po słabo oświetlonej stacyjce, znalazł wyjście i wkrótce stanął u wylotu szerokiej drogi. Niewiele sań czekało tu na podróżnych. Wsiadł do najbliższych i kazał się wieźć do miasta, spodziewał się bowiem, że znajdzie tam jakiś hotel, w którym będzie mógł wypocząć. Nowe otoczenie, to rękojmia dobrego odpoczynku. Jan czuł się prawie szczęśliwy. Przydrożne drzewka przyjaźnie wyciągały ku niemu oblepione śniegiem gałęzie, radośnie migotały gwiazdki. Wygodnie oparty o tył sanek z rozkoszą poddawał się smaganiom mroźnych podmuchów wiatru i patrzył w rozpromienione oblicze nieba. Ciemny jego szafir gęsto usiany był większymi i mniejszymi żółtawymi światełkami, z których każde mieniło się, migotało, gasło, to rozpromieniało się na nowo. Jakże drobnym wydawał się sam sobie wraz z wszystkimi swymi sprawami, jakże drobną kruszyną ziemia cała wobec tych niezliczonych i niezmierzonych światów, krążących stale i niezmiennie w tym samym tempie, po tych samych drogach lub błąkających się po olbrzymich przestrzeniach planetarnych. Ale tu znowu gorycz wcisnęła się do duszy. Jakże on sam był podobny do tych kolosów - tułaczy. Całe jego życie dotychczasowe to wędrówka bez ściśle określonego celu, to pasmo cierpień...

Nawoływanie woźnicy i głosy z drogi przerwały tok jego myśli. Podniósł się na siedzeniu i spojrzał ponad barki dorożkarza. Ujrzał przed sobą skrzyżowanie dróg. Prosty szlak biegł ku grupie jaśniejących niezbyt już daleko świateł, a od niego w lewo prowadziła węższa droga, biegnąca wśród wznoszącego się lekko terenu. Droga i jej ostry zakręt pogrążone były w cieniu. Na samym prawie zakręcie lewą krawędzią oparte o wzniesienie drogi leżało auto, wywrócone do góry kołami. Obok furmanka chłopska, a woźnica wespół z szoferem usiłowali podnieść auto. Jednym spojrzeniem objąwszy miejsce wypadku kazał Jan zatrzymać sanie, wyskoczył spiesznie i wraz z dorożkarzem pomógł postawić auto na koła.

Pod nim leżało dwoje ludzi. Jan pochylił się aby pomóc powstać kobiecie, która usiłowała wydobyć nogi spod przygniatającego je ciała mężczyzny.

— Czy pani raniona? — spytał. — Zdaje mi się, że nie — odpowiedział wesoło dźwięczny głosik i na lekarza spojrzały ciemnoszafirowe oczy. Spod futrzanej czapki wysuwały się niesfornie brązowe włosy. Jan drgnął i omal się nie zachwiał. Zawirowało mu w głowie i niby ostry nóż wbiła się w myśli świadomość, że tę twarz już kiedyś widział. Na moment zawahał się. Wrażenie było tak silne, że z trudem mógł je opanować. Do duszy ukradł się niepokój. Przez myśl przebiegały pytania. Skąd on tę twarz zna? — I nowy błysk świadomości, zakończony pytaniem: Czyż możliwe, aby to była ona? Ona tu? — Skąd? — I serce uderzyło mocniej. Niepokojące pytania domagały się odpowiedzi, to znowu zdawał się przychodzić do głosu rozsądek: To niemożliwe! Tyle lat! Nie, ona tu być nie może. — Podróżnej oblicze też pokrył cień przypomnienia, ale i tam rozsądek usunął jeszcze szybciej niepokojące przypuszczenie, bo bez wahania prawie zwróciła się do leżącego towarzysza: „Wuju! Ach, Boże krew!" — Z rozciętego czoła leżącego mężczyzny w istocie sączył się czerwony sznureczek krwi.

Jan, w którego duszy walczył jeszcze radosny niepokój z niepewnością, widząc leżącego nieruchomo człowieka, jednym wysiłkiem woli oddalił wszelkie dręczące pytania i zabrał się do spełnienia obowiązku lekarskiego. Na szczęście rana nie okazała się niebezpieczną i za chwilę auto wiozło wuja, siostrzenicę i lekarza do dworu pp. Dołżyńskich.

* * *

W godzinę później Jan siedział w głębokim fotelu i rozmyślał o ostatniej przygodzie. Zbyt silne to były jednak wrażenia, by mógł myślom nadać jakiś porządny tok; coś niby obawa jakiegoś szczęścia bezmiernego pobudzała jego serce do żywszego bicia. Za chwilę ma wejść ta jakaś nieznajoma, a tak zda się bardzo bliska i dobrze znana, której nazwiska nie słyszał niestety przy wzajemnej prezentacji na śniegowej drodze. Wodził wzrokiem bezmyślnie po jasnych mebelkach, na które lampa rzucała seledynowy refleks i zatrzymywał go dłużej na drzwiach. Wtem doleciały go ciche tony melodii rzewnej, to perlącej się kaskadą dźwięków, to bolesnej w ochoczym zapamiętaniu. Myśli jego dokonały zawrotnego skoku wstecz i wydobywać zaczęły z głębokiego zapomnienia dawne przeżycia. Melodię tę znał dobrze. Dawno, dawno ją słyszał!... Głowę odrzucił z tył oczy przymknął, a tony muzyki sączyły w duszę jego opowieść dawnych lat. Do powiek cisnęły się łzy.

Wtem drzwi się lekko otworzyły. Jan porwał się z fotela i ledwie spojrzał zawołał: „Maśka!" — i wyciągnął ręce ku różowymu dziewczęciu. Jak dalekie echo doleciało go nabrzmiałe zdumieniem słowo: „Jaś!" Przez chwilę oczy ich patrzyły na siebie w niemym osłupieniu radości. Maśka ocknęła się szybciej, błyskawicznym ruchem przebiegła pokój, ujęła jego dłonie i powtarzała: „Jaś! Jaś! a ja wiedziałam, że dziś znowu będziemy razem" — I okoloną niesfornymi włosami główkę kładła na jego ramiona, to odrywała ją i patrzyła mu w oczy jakby chcąc się upewnić, że to on. Jan z rozrzewnieniem gładził jej włosy i jak senny powtarzał: Maśka, o Boże! Maśka, skądże ty tu?... Tyle lat! A ja myślałem, że już nigdy... — Jestem u wujostwa — mówiła Maśka. — Dziś rano z dziennika dowiedziałam się, gdzie jesteś i myślałam, tak bardzo myślałam o tobie i tak pragnęłam, żeby ten Boży cud dzisiejszej Nocy Świętej wrócił mi ciebie znowu!!! A kiedy z wujem wyjechałam po sprawunki wciąż zdawało mi się, że cię muszę spotkać, aż zdarzył się w powrotnej drodze wypadek, jakże błogosławiony! A nie puścimy się rychło, Janku! — „Nie odejdę już" — odpowiedział jej drżący głos. Łkały, to śmiały się naprzemian tony fortepianu, oddając nieświadomie grę dusz tych dwojga rozbitków.

Kiełbusówna Władysława.

Rozmiłowany w swych poszukiwaniach nie zważał uczony badacz na to, że zatrzymując się ciągle, postępował bardzo wolno naprzód, a i towarzysze jego nie zdawali się zwracać na to uwagi.

Franciszek konferował dużo z Leonem i okazywał mu żywe współczucie i zainteresowanie się jego losem, mimo że nie był przytem zbyt ciekawym, ani natrętnym. Leon ze swej strony trzymał się jak zwykle w rezerwie, chociaż miał dla pięknego i miłego chłopca wielką sympatię. To też, nie poruszając zupełnie swych spraw osobistych, opisał mu Leon kopalnie złota nad strumieniem Molekumny, a gdy przyszła kolej na Europę, opowiadał Franciszkowi o pięknym i starożytnym Wiedniu, który był jego miastem rodzinnym.

Młody chłopak był coraz bardziej zaintrygowany Leonem, który mu się mimo podartego skórzanego żakietu wydawał skończonym człowiekiem, wszechstronnie wykształconym, a przytem pięknym mężczyzną, którego dziwny i zużyty kostium nawet nie mógł zeszpecić.

Leon odwzajemniał tę sympatię młodego człowieka, którego oczy i głosik żywo mu przypominały Hortensję i podziwiał jego dobry sąd i ponad wiek rozwinięty umysł.

Jeszcze lepiej dobrał się Bill z Tomem. Były to dwie pokrewne dusze, które się znalazły jak w korcu maku. To też przyjaźń między nimi prędko została zawarta i Bill zabawił towarzysza swego, opowiadaniem swoich przejść i awantur, których Tom słuchał z otwartą gębą i głupio zdziwionymi oczyma. Im bardziej się łatwowierny Tom dziwił, tym bardziej Bill w opowiadaniu swym przesadzał i tym straszniejsze zmyślał historie, popierając je przysięgami i zaklęciami. Były to same nieprawdziwe zdarzenia. To zdusił olbrzymiego węża, który się już zupełnie wokoło niego był owinął, to znów walczył z Indianami przeciwko innemu szczepowi i razem z nimi wzięty został do niewoli i wpakowany do okropnej jaskini, przed której otworem stała straż nieprzyjacielska. W jaskini zaś opadły ich szakale i pozjadały wszystkich z kośćiami z wyjątkiem jednego Billa, który się zręcznie umiał wywinąć.

Im dłużej Bill opowiadał, z tym większym zadowoleniem Tom patrzał na niego. Nie śmiał się już teraz do niego „ty" odzywać i przemawiał odtąd do niego per „Mister Bill", a respekt swój przed nim okazał tym, że zsiadłszy sam z konia nalegał, aby Bill zajął jego miejsce.

Zdobywszy sobie w ten sposób rączego wierzchowca, odbywał dalszą swą drogę wygodnie, odwilżając gardło silną wódką, którą go Tom raczył.

W ten sposób zszedł podróżnym dzień bez żadnych przygód. Wieczorem obozowali znów przy ognisku, spożywszy wspólną wieczerzę, położyli się spać. Na straży został tym razem Indianin.

Po jednogodzinnym może śnie, zbudził naszych wędrowców okropny krzyk.

Przerażeni zerwali się i schwycili za broń, myśląc, że ich ktoś napadł, ale jakże się zdziwili, gdy wkoło siebie nie zobaczyli żadnej obcej ludzkiej postaci. W lesie było zupełnie spokojnie, płomień palił się żywo i jasno i tylko Indianin leżał rozciągnięty na ziemi i mówił do siebie, jak obłąkany.



...Towarzyszyliśmy w myśli podróżom małego trampa...

Gdy nasi podróżni przekonali się, że rzeczywiście nikogo wokoło nie ma, zwrócił się stary Hiller gniewnie do Indianina:

— Co ci się stało, Wudajo? Zachowujesz się tak, jak gdybyś był obłąkany! Czyś zobaczył węża, albo wilka preryjnego, żeś się przeląkł i tak krzyczał przeraźliwie?

Trwało dość długo nim się Wudajo tak dalece uspokoił, że mógł odpowiedzieć, ale dzwonił jeszcze zębami z przerażenia i drżał na całym ciele.

— O panie! — wyjąkał nareszcie. — Wudajo widział złego ducha! Zły duch chciał zamordować Wudaja!

— Ośle! — krzyknął teraz Hiller gniewnie - napiłeś się za dużo wódki i jesteś pijany! Opowiedz rozsądnie coś widział i co cię tak przestraszyło?

Pół nieprzytomny jeszcze Wudajo zaczął w urywanych słowach opowiadać, co mu się stało, z czego się nasi wędrowcy dorozumieli następującej historii:

Indianin siedział przy ogniu, wtem zobaczył nagle tuż przed sobą wpatrującą się w niego olbrzymią postać, dwa razy tak dużą, jak przeciętny człowiek. Był on prawie sparaliżowany z przerażenia i nie mógł się ruszyć, ani wydać z siebie głosu. Wreszcie zaczęła się ta postać zmniejszać, aż zupełnie znikła. Wtedy dopiero zdołał Wudejo dać wyraz swemu przerażeniu i strachowi. Był on przekonany, że to zły duch mu się okazał, i że na przyszły raz go udusi!

— Nie wierzę ci! — krzyknął Hiller podrażniony — upiłeś się i zdawało ci się, że widzisz upiora.

Tego samego zdania był też Leon i Franciszek, Bill zaś utrzymywał, że to bardzo łatwo być może, że mu się upior ukazał, bo on sam też raz widział takiego upiora w Texas, w postaci czarnego kota.

Jednak mimo tej wiary w upiory ofiarował się Bill zastąpić Indianina i zostać na straży, ale zaopatrzył się na wszelki wypadek w naładowany pistolet, który wziął w jedną rękę i długi ostry nóż, który trzymał w drugiej.

Gdy jednak po kilku godzinach zbudził Leona, na którego teraz przychodziła kolej czuwania, doniósł mu, że było zupełnie spokojnie. Reszta nocy upłynęła też bez żadnych przygód, a nazajutrz, wszyscy już wierzyli w to, że się Indianinowi coś przewidziało.

Tylko Wudajo sam obstawał jeszcze przy swoim i zrywał się przestraszony za każdym szelestem, myśląc, że znów upiór zbliża się do niego.

Stary Hiller zatopił się znów w swoje badania. Leon rozmawiał z Franciszkiem, a Bill opowiadał Tomowi na nowo historie o upiorach i tak go nastraszył, że gdy wieczór nadszedł, oświadczył Tom, że za nic w świecie nie zostanie sam na straży.

Dla ukończenia debat w tej kwestii ofiarował się Leon, że pierwszy straż obejmie.

Narzucił na ogień sporo chróstu, nabił broń i usiadłszy na posterunku, pogrążył się w głębokiej zadumie.

Myśli jego pobiegły daleko, na drugą półkulę, do żony, której ślubował miłość i wierność, a tak mało z tego dotrzymał!

Ciszę nocną wokoło niego przerywało tylko od czasu do czasu świergotanie ptaka, ochrypłe wycie lisa lub dziwne zawodzenie leniwca Ai. Potem znów nastawała głęboka cisza.

Towarzysze jego spali smacznie. Franciszek leżał obok swego ojca przykryty kocami i wymawiał przez sen jakieś czułe wyrazy. Do kogo on w śnie mógł przemawiać?

Samotnie czuwający Leon oparł głowę o swe ręce i zapatrzył się w płomienie, bo przypomniał sobie stary przesąd, że rozmaite kształty wznoszących się płomyków nieraz przyszłość wróżą. Wpatrując się w podchodzące w górę ogniste języki



...Kończyliśmy prace w polu i ogrodzie...

puścił wodze fantazji i pogrążył się w nieuchwytne marzenia.

Wtem usłyszał w pobliżu szelest, a gdy spojrzał w górę, krew ścięła mu się w żyłach, a członki odmówiły posłuszeństwa; przez chwilę zdawało mu się, że serce mu bić przestało, bo też przed nim stała oświetlona światłem księżyca postać opisana zeszłej nocy przez Wudaja.

Była to ciemna postać, która przed oczyma Leona urosła do olbrzymiej wielkości i wpatrywała się w niego ognistym wzrokiem. Leon był odważnym mężczyzną, który się nie lękał byle czego, ale ten widok przeraził go śmiertelnie. Trwało to jednak tylko chwilę, bo opanowawszy się, zawołał groźnym tonem:

— Stój, albo strzelę!

Na słowa te olbrzymia postać skurczyła się przed jego oczyma i znikła tak szybko, że Leon strzelił już tylko w powietrze.

Wokoło niego znów było pusto. Olbrzymia postać znikła bez śladu.

Ale wystrzał z pistoletu zbudził śpiących towarzyszy.

— Panie Hiller, Bill, Tom! — zawołał Leon przerażony — pomóżcie mi przeszukać krzaki! I mnie ukazał się upiór Wudaja i znikł w chwili, gdy wystrzeliłem!

Przerażeni zerwali się wszyscy i chwycili za broń. Wyjąwszy z ognia palące się gałęzie, oświecili nimi sąsiednie krzaki i przeszukali gęstwę, ale nie odkryli ani śladu żyjącego stworzenia.

Zaniepokojeni wrócili do swego prowizorycznego namiotu i każdy z osobna przemyśliwał nad tym zjawiskiem, którego w duchu nazywał upiorem lasu dziewiczego!

ROZDZIAŁ CCXXXVIII

Walka na życie i śmierć

Szanowni czytelnicy, wróćcie ze mną znów do zamku Felseg, owianego śniegami.

Gdy Ignacy wybiegł z zamku, owego nieszczęsnego dnia, w którym go zamordowano, zostawił płytę podziemną odsuniętą, a nieszczęśliwy hrabia Werner, nie mogąc się oprzeć pokusie, zaczął znów próbować, czy nie zdoła wydrapać się aż do otworu, mimo, że z góry już prawie był przekonany, że mu się to nie uda.

Wyrwawszy z trudem kamienną płytę, z podłogi swego więzienia, wyciągnął skrzynię ze schówku, wysunął ją na środek. Położył na nią płytę i słomę, a na słomę deski ze swego łóżka. Potem wskoczył na ten pagórek i starał się wydrapać do otworu, ale nie mógł go osiągnąć, mimo, że był dobrym gimnastykiem. Zmęczył się tylko tym wysiłkiem, nie osiągnąwszy nawet połowy wysokości swego więzienia.

Gdy się tak namyślał, jakim sposobem by się przecież mógł wydostać ze swego aresztu, przypomniał sobie, że ma sznur, który mu raz Ignacy rzucił do podziemia.

Zeskoczył więc ze swego sztucznego pagórka, złapał ten sznur, zrobił dużą kluczkę i rzucił w górę, w nadziei, że zatrzyma się ona na jakimś sprzęcie, stojącym w pokoju pod jego więzieniem.

Zarzucił tak sznur niezliczone razy bezskutecznie, aż wreszcie udało mu się raz, zarzucić kluczkę na krzesło i ściągnąć go do podziemia.

Krzesło to postawił teraz na wierzch tej piramidy ułożonej ze skrzyń, desek i słomy i stanąwszy na to wszystko, usiłował jeszcze jakiś sprzęt z góry ściągnąć, ale ręce opadły mu ze zmęczenia i omal, że nie zemdlał, tak mu się w głowie zawróciło.

Śmiertelnie znużony, zawlókł deski na dół i ustawiwszy znów swe łoże, rzucił się na nie wyczerpany i zmrużył powieki. Lecz pierś jego podnosiła się i opadała kurczowo, każdy nerw drgnął w ciele i nie dawał mu zasnąć.

Po długim dopiero czasie sen skleił powieki biednego więźnia i podsunął mu wesołe widziadło. Śniło mu się, że widzi Sylwię i że ona pada w jego ramiona, że usta ich się łączą. Werner czuł bicie jej serca na swojej piersi, przysłuchiwał się z zachwytem jej głosowi i szeptał jej słowa miłosne do ucha.

W błogich snach tych zapomniał nieszczęśliwy człowiek o okropnej rzeczywistości i gdy się obudził, na płacz mu się zbierało. Opanował jednak siłą woli wzruszenie i powiedział sobie, że musi działać, aby się z tego okropnego więzienia wydostać.

Tam, na świecie, czekała go miłość i szczęście! Tu zaś, w tym podziemiu, był żywcem pogrzebany! Chodziło tu o wydostanie się na wolność. Trzeba więc było próbować i nie zrażać się i nie tracić ani chwili na bezskutecznym dumaniu!

Czuł się jednak okropnie osłabiony i aby trochę do sił przyjść, wyjął swój prowiant i pokrzepił się nim, nadsłuchując równocześnie, czy ktoś nie nadchodzi.

Ale na górze panowała jak i przedtem grobowa cisza, która Wernera przerażała. Zimny pot oblał go na myśl, że Ilona i Alojzy uciekli stąd, obawiając się odkrycia swej zbrodni i zupełnie o nim zapomnieli. Groziłaby mu w takim razie śmierć głodowa.

— Boże, mój Boże! — jęknął załamując ręce — nie opuszczaj mnie w mej okropnej nędzy! Nie daj mi zginąć w tak straszny sposób i zlituj się nade mną nieszczęśliwym!

Nie mógł tego pojąć, że Bóg go mógł tak ciężko opuścić.

On, bez którego woli żaden wróbel nie pada, nie zapomni i o mnie! — myślał hrabia Werner z ufnością w sprawiedliwość Bożą, a myśl ta pokrzepiła i napełniła nadzieją biedne, zmaltretowane jego serce.

Wypocząwszy trochę, zaczął znów ustawiać misternie skrzynię, krzesło, słomę i deski, aby utworzyć jak najwyższą piramidę. Uczynił to w ten sposób, że na samym dole postawił krzesło i wypełnił próżne miejsce, aż do brzegu poręczy swoją pościelą, którą mocno zwinął. Na to położył kamienną płytę, na płytę słomę z łóżka, na sam wierzch dopiero skrzynię.

Z trudnością tylko wydrapał się na sam wierzch tego wzniesienia i gdy stanął na skrzyni, zobaczył, że był o cały kawał wyżej niż wczoraj. Brakowały już tylko dwa metry do otworu, z którego wygodnie



W długie jesienne wieczo y siadaliśmy z książką w p zytulnym, cichym zaką ku ..

du! Z jaką radością i zachwytem spoglądał na jasne, pogodne niebo! Jak urocze wydawały mu się drzewa sosnowe i jak go cieszyły świeże, zielone końce ich gałęzi!

— Jestem wolny! wolny! wolny! — powtarzał sobie w duchu. — Wielki Boże! Jak pięknym jest Twój świat! Wkrótce cudny sen mój się ziści! Uścisnę słodką swą narzeczoną i zmienię smutek i rozpacz jej w największą radość i szczęście!

Tak marząc, szedł hrabia Werner dalej. Szczęście zdawało się dodawać mu skrzydeł. Nie czuł zimna, ani zmęczenia.

— — — — —

Gdy rozwścieklona Ilona opuściła Alojzego, stał on przez kilka chwil, jak wryty, potem zaklął dziko, tupnął gniewnie nogami i ulżył sercu swemu, następnym monologiem.

Ta głupia dziewka myśli, że ja jestem młodym psiakiem, którego ona może tresować i nogami kopać, ile jej się podoba! O, przepraszam! Zobaczy ona, że nie jestem tchórzem, który się lada kogo przestrasza. Nie będę się teraz o nią troszczył, a wtedy ona zacznie się znów łasić! Tam do diabła! Całe nieszczęście w tym, że Ilona nie była ze mną szczera. Gdyby mi się była zwierzyła, że taką masę pieniędzy schowała do worka, to nie byłbym go przecież darował temu kłusownikowi. Sama sobie winna, jeżeli ma choć trochę rozumu w głowie, musi to sama przyznać. Ale teraz muszę zobaczyć, co dzieje się z moim więźniem!

To rzekłszy, skierował kroki swoje w kierunku zamku Felseg. Lecz gdy zobaczył pałac z daleka, przestraszył się tak, że zbladł straszliwie i zaczął się trząść jak w febrze, bo w pokoju, który leżał ponad więźniem, okno było otwarte na oścież i poruszało się za wiatrem tam i z powrotem.



...Dziś zaświeci nam Gwiazda Betleemska!...

mógł widzieć pokój wznoszący się nad jego więzieniem.

W świetle ponurego dnia zimowego, mógł uwięziony hrabia objąć okiem całe urządzenie tego pokoju.

Szczególną jego uwagę zwrócił kominek francuski, z ogrodzeniem obrązowanych żelaznych sztabek. Gdyby mu się udało kluczkę, którą u końca sznura uwiązał, zarzucić na jeden z tych żelaznych sztabów, miałby mocną podstawę i mógłby wspiąwszy się po sznurze wydostać się na górę, na wolność!

Trwało to dość długo, nim mu się udało zaczepić sznur o koniec jednego ze sztabów i głośny okrzyk radości wyrwał się z jego ust, gdyż widział się już u celu swych życzeń!

Drżącymi rękoma nawiązał on u dolnego końca sznura kilka silnych węzłów i zaczął się po sznurze tym wspinać na górę. Było to ryzykowne przedsięwzięcie i Werner dobrze wiedział o tym. Nie miał jednak nic do stracenia i dlatego chwycił się tego ostatniego środka. Po kilku sekundach trwogi i niepewności znalazł się szczęśliwie na górze.

Zobaczywszy światło Boże, znów po tak długim czasie, złożył ręce i wzniósł dziękczynną modlitwę do nieba.

Obawiał się przejść przez długi rząd komnat, aby nie spotkać kasztelana, lub Ilony i otworzywszy okno, wyskoczył z niego od razu na dwór.

Drobny śnieg prószył, ostry wiatr dął silniej na tym wzgórzu niż w dolinach, owiał bladą twarz jego i potrząsał długie jego włosy, ale on nie zważał na to.

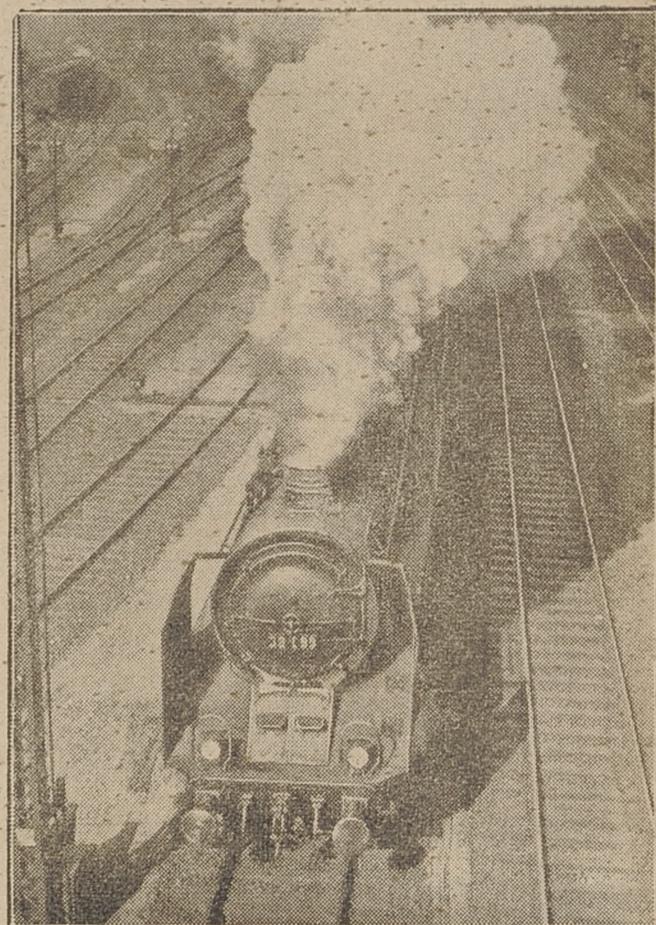
Nieopisana, nieskończona radość napełniła jego serce.

Wreszcie śnieg ustał. Przed nim leżała droga do Königswalden, ale Werner obawiał się, że łatwo na niej spotkać może kasztelana, a czuł się tak bezsilnym i osłabionym przez to długie więzienie, że nie byłby się mógł podjąć walki z Alojzym.

Dlatego wolał pójść boczną ścieżką, chociaż była zarosła krzakami i śniegiem zawiana. Naturalnie postępował bardzo pomału naprzód, ale wybrał z dwojga złego mniejsze i naraził się raczej na niewygody, niż na wielkie niebezpieczeństwo.

Świeże powietrze zimowe orzeźwiło go i dodało mu siły i odwagi.

Jak cudownym wydawał mu się ten krajobraz zimowy, pełen lśniącego śniegu i lo-



A jutro wspólnie pojedziemy w „nieznane" Nowego Roku!...

Przyspieszonym krokiem zbliżył się Alojzy do otwartego okna, wskoczył przez nie do pokoju i zaczął się po nim rozglądać. Gdy zobaczył sznur, którego koniec wisiał jeszcze przy sztabie żelaznej kominką, krzyknął przeraźliwie i zaciśniętą pięścią uderzył się w czoło.

— Uciekł! — jęknął kasztelan — mój więzień mi uciekł!

Schyliwszy głowę przez otwór do podziemia, spostrzegł ustawione tam jedne na drugich rzeczy, za pomocą których udało się hrabiemu wydostać ze swej nory na światło dzienne i na wolność.

— Nie ma go! rzekł znów kasztelan ochrypłym głosem. Ktoś mu musiał pomóc w ucieczce, ale kto to mógł być? Ilona nie, bo ona byłaby po prostu zsunęła drabinę, zamiast zadawać sobie tyle trudu. Prócz niej tylko jeden Ignacy wiedział o naszym więźniu. To on, ten idiota pewnie uwolnił hrabiego!

Instynktownie dotknął Alojzy swego kaftana w miejscu, w którym od niejakiego czasu nosił zaszytą całą sumę pieniędzy, którą tak ciężkim grzechem zdobył.

— Mam je jeszcze wszystkie — rzekł uspokojony — teraz wezmę nogi na plecy i zmyknę, a jak hrabia naśle tu policję, to znajdzie ona tylko puste ściany. Muszę jeszcze odszukać Ilonę i ostrzec ją, aby nie wracała do zamku. Teraz ona się już z pewnością nie będzie opierała i pojedzie ze mną do Ameryki.

— Jeżeli hrabia wczoraj w nocy już uciekł — mruknął — to musiałaby policja, którą on dla złapania mnie i Ilony wysłał, już być w drodze do Felseg. Będzie więc rozsądniej nie trzymać się, utartej drogi, Pogrążony w myślach szedł drogą do bo mogę tak wpaść prosto w ręce policji. wsi. Nagle nasunęły mu się pewne wątpliwości.

Rozważszy to, skoczył na bok i zaczął z trudem przeprawiać się przez zarośla i zawieje śnieżne, patrząc zwyczajem myśliwych na ziemię. Nagle stanął zafrasowany, bo przed sobą w białym śniegu zobaczył ślady buta męskiego.

Alojzy zaczął się tym śladom bliżej przypatrywać i przyłożył swoją stopę do jednego z tych odcisków.

Triumfujący uśmiech przebiegł ponurą twarz jego, gdy noga jego zupełnie weszła w ślad, który miał przed sobą.

— To ślad hrabiego Wernera — zawołał kasztelan — bo hrabia miał na nogach moje buty. Musiał też niedawno tędy przechodzić, gdyż śnieżyca dopiero przed kwadransem ustała, a gdyby był przedtem tędy szedł, to śnieg byłby ślady zawiał, a one są zupełnie wyraźne. Musi być nieduży kawał przede mną i gdy się pośpieszę, to go jeszcze mogę przyłapać. Ja, albo on! Jeden z nas musi zginąć, bo dla nas obu świat jest za ciasny!

Idąc naprzód, patrzył na ślady tak bacznie jak Indianin, któremu chodzi o wyśledzenie drogi, którą postępował nieprzyjacielski szczep i który wie, że od tego życie jego zależy.

Alojzy postępował za tymi śladami i uśmiechał się do siebie coraz bardziej triumfująco. Wreszcie zobaczył hrabiego w oddaleniu może 100 kroków i zaczął się za nim skradać prędko i cicho, jak tygrys. Czynił to okropnie ostrożnie z obawy, aby najlżejszy szelest nie ostrzegł jego ofiary przedwcześnie.

Coraz mniejszą stawała się przestrzeń między obu mężczyznami.

Hrabia Werner postępował żwawo naprzód, nie mając najmniejszego przeczucia o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Szedł szybkim, równym krokiem i żaden anioł opiekuńczy nie ostrzegł go, że w ślad za nim kroczy jego najzaciętszy, śmiertelny nieprzyjaciel!

Drżyj hrabio Wernerze!

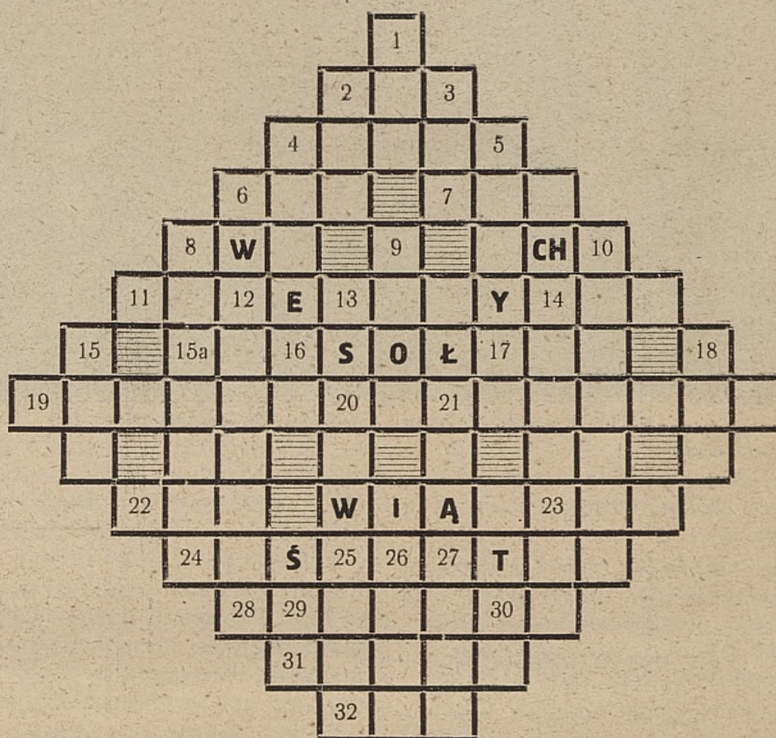
Coraz bliżej i bliżej skradał się Alojzy do swej ofiary, wreszcie skoczył jak tygrys i złapał hrabiego za szyję, tak, że ten tylko mógł krzyknąć. W następnej chwili bowiem miał gardło tak silnie ściśnięte, że nie mógł wydobyć głosu. Daremnie starał się hrabia Werner uwolnić z rąk, które jak kleszcze żelazne ściskały jego szyję. Usiłowania jego były bezowocne, a tak go osłabiły, że wkrótce padł nieprzytomny na śnieg.

Padając pociągnął i swego przeciwnika za sobą, ale ten podniósł się po upływie kilku sekund.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KRZYŻYKÓWKA ŚWIĄTECZNA
pod. Hel.



Znaczenie wyrazów: Poziome: 2. zwierzę domowe. 4. służy do podpierania. 6. poruszanie się w powietrzu. 7. rodzaj papugi. 11. kraję (wspak) 13. zwierzę pociągowe. 14. okres czasu. 15a potwierdzenie. 17. pora doby. 19. imię i nazwisko wieszcza polskiego. 22. pseudonim współczesnego literata i publicysty polskiego. 23. skrót nazwy Polskiego Związku Tatarzańskiego (wspak). 24. tytuł człowieka, który napisał pracę doktorską (skrót-wspak). 25. cicho! (wspak). 28. środek leczniczy, odurzający, mający szerokie zastosowanie. 31. dawna machina wojenna do rozbijania murów obronnych. 32. trzy spółgłoski słowa „mankament".

Pionowe: 1. część twarzy. 2. wykonawca wyroku. 3. one dzieje (inaczej). 4. fortuna 5. lód płynie rzeką (wspak). 8. miejscowość gdzie odbyła się słynna szarża kawalerii polskiej w wojnie światowej wspak). 9. zaimek. 10. człowiek silny (2 przyp. l. poj.). 12. starożytna nazwa półwyspu Krymskiego. 14. postać z „Grażyny" (wspak). 15. zwierz dawnych puszcz polskich. 16. skrót klubu sportowego. 17. zaimek (wspak). 18. część twarzy. 20. przyimek. 21. Spółgłoska fonetyczna (wspak). 25. dzieje (inaczej). 26. znane hrabstwo w Anglii. 27. człowiek grubiański. 29. dwie spółgłoski słowa „latorośl". 30. zaimek.

KWADRAT MAGICZNY
pod. Hel.

	1	2	3	4
1				
2				
3				
4				

Znaczenie wyrazów: 1. sposób porozumiewania się ludzi. 2. stworzenie, lecz ani ssak, ani ptak, ani ryba... 3. środek do opatrywania ran. 4. imię męskie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dn. 29 grudnia br.

Rozwiązania zadań z numeru 50 „Moich Powieści":

Kwadrat magiczny:

Szarada: „Złota jesień".

K	a	s	k	a	d	a
a		a		p		k
S	a	t	r	a	p	y
k		r		n		r
a	p	a	n	a	ż	e
d		p		ż		m
a	k	y	r	e	m	a

Trafne rozwiązanie nadesłali p. p.: Wroński Jan — Poznań, Słomiński Jan — Gdynia, Zielińska Maria — Tczew, Gralewski Antoni — Katowice, Hodzierski Jan — Grudziądz, Kujawski Zbigniew — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Gralewskiemu z Katowic i Kujawskiemu z Poznania.

ADAM NASIELSKI

2)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

ROZDZIAŁ III.

SPOTKANIE

Ubrał się, jak zwykle, bardzo starannie i z uwagą. Odciągało to na ten czas przynajmniej jego myśli od sytuacji centralnej, która absorbowała go najbardziej. Albowiem pomimo swego niezwykłego optymizmu czuł, że świadomość beznadziejności położenia omotowuje go coraz bardziej niby czarna, wstrętna pajęczyna i zasłania widok na piękno świata i otoczenia. Co tu dużo gadać, nie jest wesoło. Zbliża się godzina siódma, gdy po raz pierwszy w dniu dzisiejszym odczuł charakterystyczny skurcz głodu.

Zadzwonił i polecił numerowemu przynieść sobie kartę. Wybrał najtańsze z możliwych menu.

— Pan kapitan nie nasyci się tym — zauważył numerowy, opasły Murzyn, czując specyficzną sympatię dla gościa, mającego służącego jego koloru skóry.

— Nie mam dziś wcale apetytu, przyjacielu. Są ważne przyczyny.

— Może jednak... Chorowałem, sir, długo na żołądek i znam się nieco...

— Nie — oświadczył Jazon szczerze. — Pan tego nie rozumie, na razie. Proszę przynieść to, co zamówiłem. Może jutro poprawi mi się apetyt, choć wątpię.

— Yes, sir.

Skromną kolacją podzielili się wspólnie z Cliffem. Biedny Nallet wprost drżał na myśl o bliskiej przyszłości i każdy na korytarzu wprowadzał go w stan najwyższego zdenerwowania. Obawiał się, że już przychodzą, aby ich aresztować.

— Nie bój się, Cliff. Tobie w każdym razie nic się nie stanie.

— Mnie tam wszystko jedno. Ale pana wsadzą do więzienia. Po co było to wszystko.

Jaz wzruszył ramionami z desperacją i zapalił fajkę. Punktualnie o ósmej włożył płaszcz i poinformowawszy się u piętrowego, podziękował za odprowadzenie i sam ruszył w kierunku windy błyskawicznej. „Sala Ambasadorów" mieściła się na jedenastym piętrze i kapitan odnalazł ją bez trudu. Uświadomił sobie teraz, że od chwili wstąpienia do hotelu znajdował się w pewnego rodzaju stanie oszołomienia, zupełnie zresztą zrozumiałego. Był doprawdy ciekaw, jak się ta awantura skończy, oczyma wyobraźni widział już, jak go wypędzają z Hotelu Stevena.

Oddał palto, kapelusz i rękawiczki w szatni, wręczył zaproszenie umundurowanemu woźnemu i bez przeszkód dostał się na salę, ozdobioną flagami wszystkich możliwych państw, krajów i dominiów świata. Wyglądało to wcale ładnie i malowniczo, choć trochę pstro. Ludzi było już dość. Po odznakach w klapie można było poznać uczestników kongresu geograficznego.

Usiadł skromnie na stylowej kanapce z boku i zapalił papierosa, widząc, że i inni palą na sali. Zastanowił się, po co tu przyszedł. Chyba żeby uciec od samotności i wyrzutów sumienia, a raczej strachu, uosobionego tym razem przez Cliffa. Miał ochotę wrócić do szatni, odebrać płaszcz, wyjść na ulicę i uciec, gdzie oczy poniosą. Bo może być źle. Chociaż gorzej niż jest, chyba nie. Na razie...

Ponieważ pod wpływem tych rozważań głowa rozbolała go serio — postanowił rozerwać się nieco i wstał, aby przejść do palarni. Poza tym, obawiał się, że tu trzeba coś zamówić — a on nie miał pieniędzy. Zaczynał już wyraźnie odczuwać, że jest zdenerwowany, że osławiony optymizm diabli wzięli, że popełnił głupstwo, odpokutuje za nie setnie i diabli go wezmą razem z jego optymizmem.

Podniósł głowę nagłym ruchem człowieka zrezygnowanego i zauważył tuż obok siebie znajomą twarz. Ukłonił się zupełnie machinalnie i dopiero po chwili uświadomił sobie komu. Piękna nieznajoma w szarym kostiumie z poczekalni u La Salle'a. Oczywiście teraz nosiła strój wieczorowy. Odpowiedziała skinieniem głowy. Nie namyślając się wcale, podszedł do niej bliżej:

— Nie wesołą ma pan minę, kapitanie Kent.

— Pani zna moje nazwisko!

— Sekretarz mr. Sedgwicka wymienił je tak głośno, że gdybym nawet już była trochę głucha — musiałabym zapamiętać.

Skinął głową bez myślenia. Nie był w nastroju do prowadzenia banalnych flirtów, a tu się na to właśnie zapowiadało. Tymczasem czas leci, jakby go ktoś gonił, łajdaka i rachunek i protokół i kompromitacja i nędza, bruk — thunder storm!

— O czym pan tak ponuro myśli?

— O sobie, miss...

— Murray. Miss Thelma Murray.

— Myślę, że wcale nie jest wesoło i że to się źle skończy.

— Nie rozumiem.

— Jasne. Na razie tylko ja rozumiem. Jutro może już wszyscy zrozumieją. Chyba napiszą w gazetach.

— Zdaje mi się — zmieniła dyskretnie temat — że nie natrafiłam na pana dobry humor. A szkoda, u La Salle'a wyglądał pan tak wesoło. Może zatańczymy, dla rozrywki.

— Nie lubię tańczyć.

— To pogawędzimy.

— Czy ja się pani naprawdę tak podobam, ze swą po raz pierwszy w życiu, smutną miną?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Przybyłam na ten raut i nie widzę nikogo znajomego. Lepszy pan, niż nikt.

— Ach, tak! Wcale szczerze.

— Jeżeli to panu nie dogadza, mogę pobujać nieco. Mam wprawę. O dreszczu sympatii, wrażeniu z pierwszego wejrzenia, o egzotyźmie ogorzałego oblicza pana kapitana, wtrącę parę fiołków, jedną niezapominajkę, rezedę i pan się we mnie zakocha na śmierć i życie.

Kent umiał ocenić dobry humor i pogodę ducha. Pod tym względem miss Thelma Murray podobała mu się nawet. Stłumił jakoś zniechęcenie, napierając z uporem myśli i usiedli oboje w bocznej sali, w romantycznym położeniu. Teraz — pomyślał i uśmiechnął się jednak — trzeba będzie powygłupiać się na tysiąc i jeden tematów, oprócz jedynego, który go naprawdę absorbował. Czemu...

— Ma pan ciekawą twarz, kapitanie.

— Komplement?

— Stwierdzenie faktu. Gdyby pana oblicze było głupie, stwierdziłabym to tak samo bezstronnie. Pan chyba przypuszcza, że teraz trzeba będzie mnie bawić...

— Pani jest ekscentryczną niewiastą.

— Nie mogę zaprzeczać ogólnie przyjętym zwyczajom lokalnym. Wszystkie jedynaczki milionerów są ekscentryczne.

— Więc papa jest milionerem.

— Proszę sobie wyobrazić. Milionerzy istnieją nie tylko w powieściach sensacyjnych.

W pierwszej chwili wpadło mu na myśl, że taka znajomość może się przydać. Na przykład zaproszenie na obiad, pożyczka u kochanego papy Murraya. Trzeba w końcu jakoś żyć — psiakrew — kiedy człowiek miał pecha lub szczęście urodzić się. Zaniechał jednak tych bzdurnych i nierealnych myśli i nie mając nic lepszego do roboty, poczęstował miss Murray papierosem.

— Cortez'y. Najlepsze jakie znam — zapaliła z przyjemnością.

No, tak — wydał przecież na nie dwie piąte swego majątku. Zaległo milczenie, którego Jaz nie miał zamiaru pierwszy przerwać. Siedział zadumany, jakby był sam, wiedział, że nie zachowuje się grzecznie, nie bawi

pięknej towarzyszki... którą diabli nadali w takiej sytuacji. Trzeba by coś zamówić, lody, napój, bo ja wiem! Za co! Ona jest nawet wcale miła, ale on nigdy nie czuł skłonności do towarzyskiego wygłupiania się na zupełnie obojętne tematy. Szczególnie teraz...

— Nudny z pana kawaler — stwierdziła ekscentryczna miss Murray. — Chciałabym spotkać (masz babo! — teraz zaczną się zwierzenia!) ...jakiegoś ciekawego człowieka w życiu. Myślałam już, że pan nie jest pospolitym typem, a widzę, że się omyliłam.

— O ile tylko o to chodzi — myli się pani. Ciekawszego typu niż ja nie mogła pani spotkać.

— Nie widzę w panu nic szczególnego, jeżeli mam być szczera.

— Jeżeli więc powiem, że jestem człowiekiem bez pieniędzy, który mimo to wynajął najdroższy apartament w hotelu Stevena, nie wie czym go opłacić i czeka z zimną krwią, aż go wyrzucą, spiszą protokół i wsadzą do więzienia za szalbierstwo — to co wtedy! Jeżeli stwierdzę, że mimo to siedzę tu z panią i rozmawiam z zimną krwią...

Miss Murray wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— Nareszcie pan się ruszył! Wcale niezły pomysł! Wprawdzie są w nim pewne niedociągnięcia jak to: że człowiek bez pieniędzy pali Cortezy, ubiera się jak lord, nosi platynową dewizkę, odwiedza bogatych przyjaciół u La Salle'a i w poczekalni czyta Punch'a i uśmiecha się beztrosko. Ale całość — dobra! Pan jest na pewno powieściopisarzem, kapitanie. Ja jestem dziennikarką. Od razu wyczułam w panu kogoś, takiego...

— Nędzny pomysł, miss Murray — gdyby nie to, że prawdziwy. Z takim pomysłem wyrzuciliby mnie z każdego wydawnictwa lub redakcji. Najciekawszy jednak jest fakt — że to co powiedziałem, jest najprawdziwszą z prawd i dlatego wyrzucą mnie tylko z hotelu.

— Oho! I nawet dobra gra słów. Widzę, że trafnie się domyślam. Nie, kapitanie — pomysł jest naprawdę nie zły. Jeżeli panu on się niepodoba, mogę go ja — za zezwoleniem oczywiście — zużytkować do felietonu.

— Po co? — westchnął Jaz z rezygnacją. — Skoro tylko wyjeją mnie z hotelu po przedstawieniu rachunku, napiszą o tym niewątpliwie wszystkie gazety i pani narażałaby się na burę od naczelnego redaktora, na którego, mam nadzieję, gwiżdże pani ze względu na papę i pieniądze. Pani uprawia dziennikarkę chyba jedynie z nudów.

— Na razie tak. Wrócimy jednak do pańskiego świetnego pomysłu, kapitanie. Zapaliłam się do niego.

— Nie — uśmiechnął się bezradnie. — Miss Murray, to nie jest powieść. W książce, jeżeli bohater jest biedny, autor każe mu wygrać na loterii, dziedziczyć spadek, zwichnąć mały paluszek u nogi i podjąć za to milionową asekurację, zakochać się w milionerce — lub stwarza jeden z tych cudów, które nie zdarzają się w życiu wtedy, kiedy trzeba. A papier jest cierpliwy.

Ujrzał drwiący błysk w jej oczach i zrozumiał go dopiero po chwili. Mimochodem stwierdził, że miss Murray ma naprawdę piękne oczy. Dotychczas był tak oszołomiony całą przygodą, że nie zdążył nawet przyjrzeć się dokładnie swej towarzyszce.

— Skoro pan sam chce zużytkować swój pomysł, nie mogę panu mieć za złe. — Rozejrzała się po wielkiej sali: — Pustawo i nudno, sami geografowie. Jest jeszcze za wcześnie na sen. Pojedziemy do Petit Gourmet, dają nowy program.

Jan spojrzał na nią więcej ze strachem niż ze zdumieniem i oświadczył prosto z mostu:

— Jestem pierwszy raz w Chicago i nie wiem, co to jest Petit Gourmet, domyślam się, że jakiś nocny lokal. To zresztą nie ma znaczenia. Oświadczam pani jeszcze raz, że wszystko co powiedziałem, jest szczerą prawdą. Ją nie mam przy sobie ani centa. Nawet nic na taksówkę.

— Mój Packard czeka przed hotelem. A co do pieniędzy — proszę nie być śmiesznym. Niech mnie pan lepiej poczęstuje Cortez'em, kapitanie.

Podał jej cenną papierośnicę, wysadzaną rubinami, pamiątka po ojcu, a ona spojrzała na nią tak niedwuznacznie i dziwnie — że Jaz zbuntował się. Niech się dzieje co chce. Panna Murray nie wierzy mu — więc się przekona. W końcu, niewielka to różnica: być skazany za szalbierstwo w hotelu, czy w restauracji Petit Gourmet. Co się ma stać, proszę... W najlepszym wypadku miss Murray lub jej papa zapłacą i ekscentryczna panna nauczy się stronić od łatwych znajomości z takimi panami jak Jaz Kent. Miał przecież czyste sumienie — dwa razy powtórzył jej szczerą prawdę.

Po tym rozumowaniu ulżyło mu trochę. Mimo to zawahał się:

— Oto mój numerek do szatni.

Patrzał jej prosto w oczy:

— Czy pani się we mnie przypadkiem nie zakochała od pierwszego wejrzenia? Po takiej ekscentrycznej...

Jej głośny śmiech przerwał mu w połowie zaczętego zdania. Aż łzy ukazały się w jej oczach.

— Dobry dowcip, kapitanie! Najlepszy jaki słyszałam w tym roku. Ja i... zakochałam. Cudowne!

Nie rozumiał, co w tym było takiego cudownego, ale było mu po prawdzie wszystko jedno. Widząc jej wyczekujące i wymowne spojrzenie, przeprosił, skłonił się i udał się do szatni. W hallu, przed lustrem pomógł jej włożyć płaszcz. W windzie nie odezwał się ani słowem.

Na parterze portier skłonił się im aż do samej ziemi i z uśmiechem mruknął do płatniczego:

— Pan kapitan Jazon Kent ma jeszcze dziś ważną konferencję i szkoda mu czasu.

rowo na portiera.

Płatniczy nie odpowiedział uśmiechem i spojrzał su-

— Używanie sarkazmu nie wchodzi w zakres pańskich kompetencyj, panie portierze. Zna pan instrukcje dyrekcji. Kapitan Kent wynajął u nas najdroższy apartament — reszta to jego rzecz. Jeżeli mówił panu, że ma konferencję...

Portier spuścił powieki, zażenowany...

Przed portalem największego na świecie hotelu Jazon Kent zawahał się po raz wtóry. Znów miał ochotę uciec po prostu.

— Do Petit Gourmet, Bob!

I omal nie wciągnęła Jaza do wnętrza. Ogromny wóz miss Murray był przepiękny i wygodny, lecz gdy ruszyli Jazon Kent miał wrażenie, że usiadł na rozpalonej blasze.

ROZDZIAŁ IV.

ZDZIWIONY JAZ

Zegar wieżowy na Public Library wskazywał pół do jedenastej, gdy auto zatrzymało się przed neonową reklamą na N 615 Michigan Boulevard przed ładnym i dyskretnym frontonem restauracji. „Petit Gourmet" jest jednym z najpopularniejszych „night-bars" w Chicago i ruch zaczyna się tu dopiero około północy. To też wejście na salę miss Murray i Jaza nie zwróciło niczyjej uwagi. Dziennikarka skierowała się od razu do jednej z bocznych loż. Jej pewność siebie oraz całe zachowanie wskazywało, że nie jest tu po raz pierwszy.

Nie dałoby się to powiedzieć o Jazonie. Zdenerwowanie wzmogło się, gdyż sytuacja zaczynała być okropna. Naprawdę, nie umiałby wyjaśnić co go właściwie zatrzymywało przy tej kobiecie i dlaczego zgodził się pojechać do luksusowego dancingu bez grosza przy duszy!

Zaledwie więc zajął miejsce przy stoliku, a już nachylił się do twarzy miss Murray, jakby bał się, że ich ktoś podsłucha, choć loża była pusta:

— Uprzedzam panią po raz ostatni, że nie mam przy sobie pieniędzy. Gdy przyjdzie do zapłacenia rachunku — będzie awantura i zaaresztują mnie.

— Wierzę, że pan nie wziął pieniędzy i jeszcze raz przyznaję, że pomysł jako eksperyment — jest świetny!

— Ja i w hotelu nie posiadam pieniędzy. Jestem nędzarz i bezrobotny, proszę pani.

— Dwa razy powtórzony dowcip blednie i nie ma wartości. Powiadam, że...

Zamilkła, albowiem w szparze kotary ukazał się wystraszony kelner o typowo bezwyrazistej twarzy. Jaz spojrzał zupełnie odruchowo na swą towarzyszkę i po-

dał jej drugą kartę, wręczoną mu przez kelnera. Niech ona zamawia — będzie mógł potem zwalić na nią płacenie — bo jakże inaczej, do licha!

— Dla mnie Martini i biszkopty.

— A dla szanownego pana.

— To, co zamówiła pani.

Kelner skłonił się i zniknął. Jaz zerknął nieznacznie na cennik win, umieszczony pod szkłem stolika. Vermouth Martini — trzynaście dolarów. Za usługę dolicza się dziesięć procent. Skąd on to wyczaruje, na litość boską. Ale skoro już stało się — to trudno. Wypije czy nie, zamówione i trzeba będzie zapłacić. Zimno mu się robiło na samą myśl — ale szczypta optymizmu, jaka jeszcze pozostała, osłodziła gorycz zdenerwowania. Opanował twarz i spróbował się uśmiechnąć — lecz skąd! nie idzie. Łatwiej chcieć niż zrobić.

Przesunął językiem po wyschniętych wargach i zdawało mu się, że ma gorączkę. Ładna kabała — jeszcze zemdleć tu z wrażenia, po raz pierwszy w życiu. A może jednak wstać, nie próbować przekonywać tej ekscentrycznej — powiedzmy, lekko zwariowanej — córeczki milionera (anuż iże baba, jak najęta, pomimo Packarda, wszystko możliwe), przeprosić ją pod normalnym ozorem, odebrać palto w szatni, wydzwonić Cliffa z hotelu i nura! bracie — póki nie będzie awantura, bodaj na włóczęgę. I byłby tak może uczynił, gdyby nie świadomość — że nie miał nawet centowej monety na telefon, a przybycie o tej porze do Stevensa i wyjście w towarzystwie służącego, może się jednak wydać podejrzane. Źle, jak pragnę zdrowia.

Zamyślił się i nagle spojrzał na miss Murray. To może niedyskretne, ale:

— Czego pani szukała u La Salle'a. Chyba nie posady, jak ja?

— Wczoraj dokonano tam włamania do jednej z kas i chciałam zasięgnąć danych dla mego dziennika. — Zauważyła jego pytające spojrzenie. — Pracuję w „Megaphone".

Przyszło mu na myśl, że mr. Sedgwick był istotnie zdenerwowany. Chyba z powodu owego włamania. Ale co to obchodziło jego, Jaza Kenta! I czemu ona zignorowała jego wzmiankę o szukaniu posady. Dziwna dziewczyna. Chociaż — trudno doprawdy na oko uwierzyć, że on, kapitan Jazon Kent, jest bez pieniędzy. Elegancko ubrany, wytworny, mieszka u Stevensa na czwartym piętrze... Nic dziwnego. Zdecydowanym ruchem podniósł kieliszek:

— Piję pani zdrowie za pani pieniądze.

Już chyba wyraźniej nie można, prawda?

Trącili się. Wino było dobre i rozeszło się przyjemnym ciepłym po każdym zakątku ciała. A tam, u Stevensa, bidula — Cliff na pewno martwi się jak wszyscy diabli. Rany boskie! Jaz nalał sobie jeszcze raz, Thelma odmówiła i on wychylił spory kielich jednym haustem. Dobre! Może zaproponować jej „Bruderschaft", upoić i pożyczyć trochę forsy. Papa nie zbankrutuje — a jeżeli nawet, to jego rzecz. O czym on myślał! Gentleman, psia twoja nędza, dobre wychowanie, maniery, fason. Tak — ale próżnia w kieszeni i cała maskarada w puch. Ładna heca, nie ma co gadać, człowiek chętnieby się skrył do własnej kieszonki od kamizelki i przykucnąłby w oczekiwaniu — ale to jest niestety, niemożliwe.

— Czemu pan się uśmiecha?

— Ot, tak sobie — odparł głupio.

Gadaj tu, człowieku, mądrze. Teorie filozoficzne wymyśl na poczekaniu — byle ją zabawić. W powieści — Jaz odzyskiwał powoli humor, nie wiadomo czemu — byłoby tak: Działoby się nie w Chicago, lecz naturalnie w Monte Carlo. Bohaterski bohater kapitan Jazon Kent znalazłby na ulicy (no chyba!) monetę frankową, postawiłby ją na zero na ruletce, wygrałby trzydzieści sześć razy tyle i z tym kapitałem rozbiłby bank w Baccarat i ożeniłby się z córką milionera, miss Thelmą Murray, a cudem — a jakże — znalezioną monetę oprawiłby w ramki i powiesił nad łóżkiem. Gdyby zaś nawet działo się to w Chicago, to...

— Zatańczymy?

Zatańczyli. Żadna strata przecież. Wirował elegancko po parkiecie i czuł ciepło ciała miss Murray poprzez jej cienką suknię. Cóż, kiedy świadomość fatalnej sytuacji wprost paraliżowała inne myśli. Orkiestra skończyła nareszcie. Wróć!

— Pan wcale nieźle tańczy.

— Aha!

Może ona się w końcu zorientuje. Ale skąd! Miss Murray kazała nalać na nowo i wypiła od razu. Oczywiście Jaz również. Zaczynał odczuwać lekkie odurzenie — już dawno nie pił, a Vermouth Martini jest płynem bardzo zdradliwym. Gdzie się podziały te czasy...

— Długo pan zabawi w Chicago, kapitanie?

— Nie wiem. Ile się dostaje za szalbierstwo. Chyba ze sześć miesięcy. Potem będę musiał zarobić na pociąg i znów zaplączę się w awanturę bo to już widocznie mój pech. Za drugim razem, jako recydywista, dostanę rok i tak w kółko. Źle skończę, proszę pani. W ten sposób nie można zajść daleko.

— Miał pan rację, zapewniając mnie o swej oryginalności. Nikt ze znajomych nie bawił mnie jeszcze tak świetnie.

Miss Murray kocha widocznie superlatywy — pomyślał — lub też ma piekielnie nieciekawych znajomych. Przecież bardziej nudnie zachowywać się niż dziś — chyba nie można. Nie prawi komplementów, a o sobie mówi tylko prawdę.

— Mam ochotę opisać pana w felietonie.

— Jeżeli prowadzi pani w „Megaphone" dział kroniki kryminalnej...

— Znów się zaczyna!

— Już niedługo się skończy. Powiedzmy, że teraz, tu pani ureguluje rachunek za wino i biszkopty, o czym zresztą lojalnie i kilkakrotnie uprzedzałem. Gdybym nawet chciał, nie mógł zapłacić, po prostu dlatego, że nie mam pieniędzy. Ale w hotelu Stevensa, luksusowy apartament, czwarte piętro, łazienka, telefon, ludwikowski salonik, wenecka sypialnia i gabinet — na to nie zarobię nawet przez miesiąc, jeśliby nawet...

Urwał nagle — z dwojakiej przyczyny. Przede wszystkim już od kilku minut miał wrażenie, że ktoś go usilnie obserwuje. Teraz zauważył już wyraźnie siedzącą w loży naprzeciwko samotną osobę i poznał dyrektora Sedgwicka od La Salle'a. Mr. Sedgwick nie usiłował nawet ukrywać, że bacznie obserwuje lożę, w której siedzieli Jaz i Thelma. Kapitana nie zdziwiłby ten fakt — zrozumiałe, że dyrektor jest zdumiony, widząc człowieka, jaki dziś o trzeciej prosił go o nędzną między nami mówiąc posadę... siedzącego w najlepsze tu, w luksusowym dancingu, w loży, w towarzystwie córki jednego z ...amerykańskich milionerów i ubranego jak książę Walii.

Jaza zdziwiło coś innego. Mr. Sedgwick był jakoś nienaturalnie blady, jakby przestraszony i podniecony i ...najwyraźniej dawał kapitanowi jakieś ukryte znaki. Nie, to chyba przywidzenie. Dyrektor ma na pewno tick nerwowy i dlatego mruga lewym okiem. Zabawne. Druga przyczyna, dla której Jaz przerwał niedokończone zdanie była inna i dlatego właśnie kapitan zwrócił się znów do swej towarzyszki.

— Jakiego rodzaju przemysłem zajmuje się pani papa.

— Trust Transportowy — odrzekła miss Murray lakonicznie i nie ukrywała niezadowolenia, co od razu wyjaśniła. — Jeżeli zacznie pan mówić o interesach, orzeknę, że jest pan nudny i nie różni się niczym od innych moich znajomych. Każdy z nich indaguje mnie o bussinessy papy, widocznie chcą otaksować ewentualny posag, a ja muszę udawać, że nie wiem o co im właściwie chodzi. Przecież pan...

— Nie — uspokoił ją — jeszcze nie myślałem o małżeństwie z panią, pomimo że znajdujemy się w Ameryce. Pomimo mego hotelowego wariactwa, jakie popełniłem — uważam się za człowieka dość rozsądnego. Mnie chodzi o coś innego.

— Słucham — zaciekawiła się nareszcie poważnie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 26 grudnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Kościoła Św. Krzyża 10.30 Gioacchino Rossini: „Cyrulik Sewilski" — opera komiczna 12.03 Poranek symfoniczny z Wilna 13.10 „Włostowska Klonica" — legenda sandomierska 13.30 Koncert rozrywkowy 15.00 „Po kolędzie" — słuchowisko regionalne 15.45 „Jak to dzieci do Betleem wędrowały" — audycja dla dzieci 16.05 Koncert solistów z Krakowa 16.45 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść mówiona 17.00 Muzyka taneczna ze Lwowa 18.30 „Siedem gwiazd" — poemat Mikołaja Kopernika o Chrystusie Jezusem zwanym 19.30 „Słynni wirtuozi" — płyty 21.00 „Z Tońkiem i Szczepkiem pod Bożym drzewkiem" — ze Lwowa 21.30 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki dr. T. Żeleńskiego-Boya 21.45 Lekka audycja z Łodzi 22.30 Do tańca gra mała orkiestra Polskiego Radia.

Poniedziałek, dnia 27 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa polskie pieśni i kapela ludowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Orkiestra Dyrekcji Tramwajów i Autobusów Miejskich 17.00 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść mówiona 17.15 Koncert skrzypcowy Roberta Schumanna 17.50 Pogadanka sportowa 18.10 Humorystyczne piosenki Chóru Dana 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Dyskutujmy: Bilans dobrej woli" 20.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada" (z Wilna) 21.00 Koncert rozrywkowy 22.00 „Polskie wesele" — suita baletowa.

Wtorek, dnia 28 grudnia 1937 r.

5.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.45 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — audycja dla dzieci 16.15 Utwory na dwa fortepiany 17.00 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść mówiona 17.15 Muzyka salonowa 17.50 „Po białej stopie" — pogadanka 18.35 Audycja dla dzieci 19.00 „Nieśmiertelne książki" — wieczór VII 19.30 Recital skrzypcowy Tadeusza Ochlewskiego 20.00 Muzyka taneczna 21.00 Maurycy Ravel: „Dziecko i czary" — transmisja ze studia Paris PTT 22.00 Sylwetki kompozytorów polskich.

Środa, dnia 29 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci 16.00 Skrzynka językowa 16.15 Radujcie się narody (kolędy egzotyczne) 17.00 „Kowalscy się odnaleźli" — powieść mówiona 17.15 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 18.10 Muzyka lekka 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Recital śpiewaczy Maryli von Wolley 19.35 „Cieszkowski" — odczyt 20.00 Z biegiem Dunaju — koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Zygmunta Dygata 21.45 Piękno mowy polskiej Franciszka Siedleckiego 22.00 Koncert rozrywkowy.

Czwartek, dnia 30 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży 16.15 Orkiestra mandolinistów 17.00 „Lwowska skarbnica kultury narodowej" — reportaż 17.15 Recital fortepianowy Margerity Trombini-Kazuro 17.50 Pogadanka sportowa i wiadomości sportowe 18.35 „Kontrakt ślubny" — słuchowisko 19.30 Kolędy polskie, kolędy szwedzkie, transmisja ze Sztokholmu 20.00 „Saldo piosenek za rok 1937" — lekka audycja 21.00 „Preliminarz piosenek na rok 1938" — lekka audycja 21.45 „Uziemiony Eros" — szkic literacki 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 31 grudnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.45 Gawęda Kornela Makuszyńskiego dla dzieci starszych 16.15 „Boże Narodzenie w poezji i pieśni" 17.00 „Nasze midinetki" — felieton 17.15 Orkiestra rozrywkowa 18.00 Komunikat śniegowy z Krakowa 18.10 Motywy egzotyczne w muzyce jazzowej 18.30 Audycja dla wsi 18.55 „Brat znajduje brata" — komedia radiowa 19.30 Kolędy polskie (transmisja do Szwajcarii), kolędy szwajcarskie (transmisja ze Szwajcarii) 20.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Sylwester w Lublinie.

N O W Y R O K

Sobota, dnia 1 stycznia 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 10.30 Boże Narodzenie w twórczości rozmaitych kompozytorów 11.30 „Kalendarzowe kartki" — słuchowisko muzyczne dla dzieci 12.03 „Podnieś rękę Boże Dziecię" — kolęda 12.15 „Sonety krymskie" A. Mickiewicza, muzyka St. Moniuszki 13.30 Muzyka obiadowa: melodie z całego świata 14.45 Audycja dla wsi 15.30 Gramy do tańca 17.00 Kurant staroświecki „Rok staropolski" 18.00 Muzyka angielska 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.45 Popularny koncert 22.00 Muzyka taneczna.



ROBIĄ POSTĘPY

— Czy zauważyła pani, że nasze dzieci z dnia na dzień robią coraz większe postępy w śpiewie?

— O tak, nawet kolosalne! Dawniej uskarżali się tylko sąsiedzi, a dzisiaj cała dzielnica.

PRZEKONAŁ SIĘ

Dozorca do właściciela kamienicy, który upadł, pośliznąwszy się na schodach:

— Teraz nie będzie mi pan wymyślał, że schody są źle froterowane!

SPOTKALI SIĘ

— Jak to? I ty tu, w takiej obskurnej knajpie?

— A ty?...

— Ja tylko wpadłem na chwilę, aby zobaczyć kto tu bywa.

— I ja również.

MAŁŻEŃSTWO

— Taką mam dzisiaj ciężką głowę.

— Nie rozumiem, jak może być ciężkim przedmiot, pusty w środku!

DOBRA PAMIĘĆ

Pewna starsza pani chwali się swoją niebywałą pamięcią.

— Tylko trzech rzeczy nigdy nie mogę zapamiętać. Po pierwsze nazwisk, po drugie twarzy, a po trzecie.... po trzecie... po trzecie właśnie zapomniałam.

PRZEKONYWUJĄCY ARGUMENT

— Ta panienka mi się podoba... Ale nie ożenię się z nią, bo zamało inteligentna... Nie mam z nią o czym rozmawiać.

— To jest kłopot? Weź ją pan, a ja panu dodam gratis encyklopedię.

W SĄDZIE

Czym pan jest z zawodu?

— Szewcem.

— Samodzielny?

— Nie — żonaty.

W ANTYKWARIACIE

— Czy ma pan na sprzedaż listy królowej Jadwigi?

— Nie.

— A przynajmniej pocztówkę?

W PENSJONACIE

Gospodyni: — Czemu postawił pan herbatę na krześle?

Gość: — Jest tak słaba, że czułem, iż należy jej zaofiarować krzesło.

GUZIK

— Panie starszy, w herbacie jest guzik!

— Bardzo dziękuję, szukałem go przez cały dzień.

U FRYZJERA

— Co pan wyprawia, do cholery! Czemu pan kładzie mi taki gorący ręcznik na twarz?

— Bo go nie mogę utrzymać w ręku.

NIE WSZYSTKO MOŻNA

— Nosisz taki elegancki płaszcz, a spodnie masz podarte?

— Mój drogi myślisz, że to tak łatwo zamienić spodnie w cukierni?

DWUZNACZNY GNIEW

— Pani jest tak urocza, że postanowiłem, zanim stąd wyjdę, pocałować panią.

— Panie, proszę natychmiast wyjść.

AMERYKANIE W EUROPIE

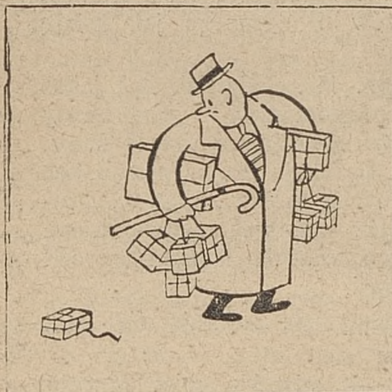
Państwo Smth, bogaci Amerykanie, odbywają podróż poślubną po Europie.

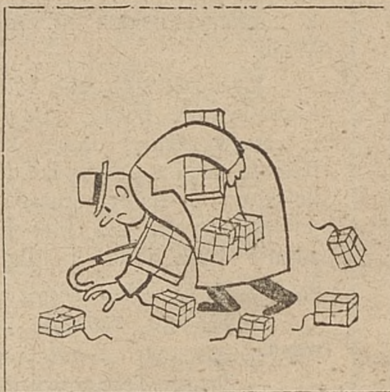
Właśnie z Baedeckerem w ręku zwiedzają Paryż. Auto państwa Smith mija jakiś gmach.

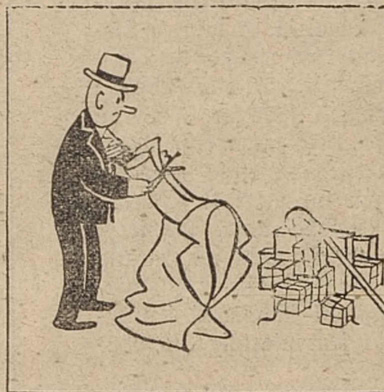
— Dear — zapytuje małżonek — gdzie jesteśmy obecnie.

— Na 268 stronicy, najdroższy.

— Well, jak dojedziemy do 275 strony, to wrócimy do hotelu...









Ktoś kto kupował podarki w ostatniej chwili — i umiał sobie poradzić.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.